

*...Aż dojdziemy wszyscy do jedności wiary i poznania Syna Bożego, do męskiej doskonałości, i dorosniemy do wymiarów pełni Chrystusowej...*

---

## **Przebaczone winy, darowane długi**

Lecz to jest post, w którym mam upodobanie: że się rozwiązuje bezprawne więzy, że się zrywa powrozy jarzma, wypuszcza na wolność uciśnionych i łamie wszelkie jarzmo...

Iz 58: 6

Celem Bożej pracy nad człowiekiem jest jego ukształtowanie na obraz i podobieństwo Stwórcy. Tak było od początku. Grzech drastycznie zakłócił ten proces, ale go nie udaremnił. Boży cel pozostał ten sam i jest w dalszym ciągu realizowany. Ten Boży cel widzimy zarówno w Starym, jak i Nowym Testamencie — w prawie Mojżeszowym jak i w odkupieniu, dokonanym przez Chrystusa. Stosując się do poleceń Pisma Świętego, współdziałamy z Bogiem w dokonywaniu tych przemian w naszym życiu, natomiast lekceważąc wskazówki biblijne, utrudniamy lub nawet uniemożliwiamy te przemiany, na skutek czego nie zmieniamy się lub nawet zmieniamy się na gorsze.

Bóg jest miłością i dominującymi cechami Jego charakteru są miłosierdzie i przebaczenie. Bóg jest też sprawiedliwy i święty, gdyby jednak zechciał egzekwować swoją sprawiedliwość i świętość bez udziału miłosierdzia i przebaczenia, nie mielibyśmy żadnych szans. To tylko dzięki Bożemu nie ustającemu miłosierdziu i przebaczeniu jesteśmy w stanie mimo swojego beznadziejnego stanu ostać się przed Bożym obliczem, zbliżyć się do Niego i robić na drodze naszej przemiany postępy. Z takiego stanu rzeczy wynika z naszej strony w sposób oczywisty bezwzględna konieczność głębokiej pokory, jako że bez przerwy jesteśmy przed Bogiem bez żadnych atutów, bez najmniejszej podstawy do samozadowolenia, cały czas zdani wyłącznie na Jego wyrozumiałość i litość. Taka głęboka pokora jest też koniecznym warunkiem naszego cieszenia się Bożym błogosławieństwem i Bożą przychylnością, co stwierdza wyraźnie całe mnóstwo tekstów biblijnych.

Widzialnym sprawdzianem naszej postawy pokory jest nasze własne miłosierdzie i przebaczenie w stosunku do innych ludzi. Jeśli bowiem sami ostajemy się przed Bogiem jedynie dzięki Jego miłosierdziu i przebaczeniu w stosunku do nas, to jakże inaczej możemy dać wyraz naszej pokorze i wdzięczności, jeśli nie przez okazanie takiej samej

postawy miłosierdzia i przebaczenia w stosunku do innych? Tęgo właśnie Bóg oczekuje i czyniąc to dajemy dowód tego, że nasza przemiana na obraz Boży dokonuje się i postępuje naprzód. Niestety, mimo że ta podstawa naszej relacji z Bogiem jest tak logiczna i niepodważalna, nasza skłonność do zarozumiałości i pychy bywa tak przeogromna, że nie wahamy się rażąco naruszać biblijnych zasad w tym zakresie, narażając się przez to na nieobliczalne, zgubne skutki.

Ilustruje to bardzo wyraźnie podobieństwo Pana Jezusa o dwóch sługach, będących dłużnikami swojego pana (Mt 18: 21–35). Ogrom Bożego miłosierdzia wyraża tu darowany dług 10.000 talentów, podczas gdy rażącym, odstrasżającym przykładem nieprzejednania jest ten uwolniony dłużnik, który egzekwuje od swojego współsługi niewielki dług z całą surowością i bezwzględnością, bez odrobiny litości czy wyrozumiałości. W rezultacie traci przychyłość swojego pana, ściągą na siebie jego gniew i zostaje wydany katom. Postawa nieprzebaczenia sprawia, że pogodna atmosfera życzliwości i wolności we wzajemnych stosunkach zmienia się w koszmar wzajemnego zadreczania i niszczenia się. W miejsce swobody, płynącej z przebaczenia, następuje niewola, wynikająca z wzajemnych pretensji i roszczeń. Zauważmy, że dotknęło to wszystkich uczestników tej historii. Wszystkim to szkodzi.

Rzuca się w oczy ścisły bezpośredni związek między postawą nieprzejednania, a powodowanym przez nią skrępowaniem i przyduszeniem. Jeśli żywimy w sobie pretensje do innych, stawiamy im roszczenia, zarzuty i oskarżenia, szkodzimy nie tylko im, lecz w pierwszej kolejności samym sobie. Czyniąc tak, uruchamiamy mechanizm, który duchowo dusi i zniewala. Ten nieubłagany wierzyciel dusił swojego współsługę, ale w jeszcze większym stopniu dusił samego siebie. Wtrącił go do więzienia, ale sam znalazł się w więzieniu. Praktyka obrzucania się oskarżeniami jest przyczyną ogólnego przyduszenia i zniewolenia przede wszystkim tych, którzy to czynią. Słuchaj oskarżeń, wierz oskarżeniom, powtarzaj oskarżenia, a będziesz duchowo przyduszony i skrępowany, pozbawiony radości i siły w Panu. To nie jest teoria, to widać na każdym kroku. Zamiast korzystać z chwalebnej wolności dzieci Bożych, jesteśmy męczennikami i niewolnikami swoich zarzutów i pretensji, wysuwanych wobec swoich współbraci. Nasze naturalne, ludzkie, nieodrodzone poczucie sprawiedliwości domaga się spłaty istniejących długów i zaspokojenia roszczeń, podczas gdy Bożym rozwiązaniem jest ich wzajemne darowanie sobie.

W podobieństwie Pana Jezusa mowa jest o wzajemnym zadłużeniu współsług. Jeden winien był drugiemu sto denarów. Ale wzajemne zarzuty wśród wierzących z powodu doznanych krzywd, obojętne czy prawdziwych, czy domniemanych, są tylko częścią problemu. Długi

takie istnieją, ale główny problem tkwi w czym innym. Chodzi o to, że niezmiernie skrupulatnie pilnujemy, czy czasem nasi współbracia nie są czegoś winni naszemu Panu. A jeśli wydaje nam się, że tak, zaczynamy ich dusić i dręczyć, domagając się spłaty ich długu. Jakiś chory proces myślowy sprawia, że wbrew elementarnej logice i oczywistym wskazówkom Pisma Świętego uważamy się za powołanych i zobowiązanych do tego, by osądzać postępowanie współsług naszego Pana i w ten sposób wyręczać Go w utrzymywaniu porządku i wymiarze sprawiedliwości w Jego domu. Samozwańczo ustanawiamy samych siebie do roli Jego komorników i zabieramy się do egzekwowania z całą surowością domniemanych należności naszych współsług względem naszego i ich Pana, do ściągania ich rzekomych długów, które tak naprawdę powstały w naszej kalekiej wyobraźni.

Wszyscy zawadzimy na tysiące różnych sposobów i zasługujemy na tysiące różnych zarzutów, Bóg jednak stosuje w relacjach z nami miłosierdzie i przebaczenie i tego samego oczekuje także od nas gdy chodzi o nasze wzajemne stosunki w Jego ciele. Jeśli jesteśmy przyobleczeni szatą pokory względem siebie i przebaczamy sobie tak, jak On nam przebaczył, cieszymy się Jego błogosławieństwem. Jeśli natomiast zaczynamy się wzajemnie dusić i wtrącać do więzienia, ściągamy na siebie Jego gniew. „Sługo zły! Wszystek tamten dług darowałem ci, boś mnie prosił. Czy i ty nie powinieś był zlitować się nad współsługą swoim, jak i ja zlitowałem się nad tobą? I rozgniewał się pan jego, i wydał go katom, żeby mu oddał cały dług. Tak i Ojciec mój niebieski uczyni wam, jeśli każdy nie odpuści z serca swego bratu swemu” (w. 32–35). „Nad tym, który nie okazał miłosierdzia, odbywa się sąd bez miłosierdzia, miłosierdzie góruje nad sądem” (Jk 2:13). I pomyśleć, że mimo tak krzyczących biblijnych ostrzeżeń robiliśmy, a może nawet i robimy to jeszcze prawie wszyscy, nieraz przez długie lata, w jakiś niepojęty sposób zaślepieni na zgubne konsekwencje takiej postawy zarówno dla nas samych, jak i dla królestwa Bożego.

Nasza wiedza jest cząstkowa, nasze poznanie ograniczone (1Ko 13:9). Mamy „niewielką moc” (Obj 3:8). Dopuszczamy się wielu uchybień (Jk 3:2). Pomimo tego wszystkiego, jeśli zajmujemy postawę pokory, co ujawnia się w miłosierdziu i przebaczeniu, to na naszym cząstkowym, ułomnym dziele spoczywa Boża łaska i błogosławieństwo i dzięki temu mimo wszelkich różnorodnych braków stanowi ono cząstkę Jego królestwa. Szatan robi oczywiście wszystko, aby to unicestwić przez wciśnięcie nam zarozumiałości, wyniosłości i pychy. Jeśli mu na to pozwolimy i do głosu dochodzi nasza cielesność i zaczynamy naszych współbraci zasypywać pretensjami, zarzutami i oskarżeniami, kultywując wrogość, spór, knowania, waśnie, odszczepieństwo

(Gal 5:20), to wspaniałe i drogocenne prawdy Słowa Bożego, których jesteśmy szafarzami, zanieczyszczone i zatrute zostają przez takie właśnie uczynki ciała. Degraduje to ogromnie jakość chrześcijaństwa, jakie reprezentujemy, a może to nawet doprowadzić w rezultacie do powstania fanatyzmu i ksenofobii zupełnie tego samego gatunku, jakie zżerają i niszczą niektóre środowiska, takie jak przykładowo otoczenie Radia Maryja. Wtedy już tylko krok dzieli nas od „świętej” inkwizycji. Destrukcja dzieła Bożego jest wtedy kompletna i Bóg przestaje z tym mieć cokolwiek wspólnego, chociaż nasze zaślepienie powoduje, iż nadal jesteśmy przekonani, że bronimy Jego słusznej sprawy.

Do sytuacji, jaką tutaj omawiamy, ma zastosowanie tekst biblijny z Księgi Izajasza 58. Rozdział ten zasługuje na naszą szczególną uwagę w obecnym czasie. Rozpoczyna się od ostrego Bożego karcenia, a kończy się wspaniałymi obietnicami. Lud Boży narzeka, że Pan nie zważa na jego posty, a Pan wyjaśnia, dlaczego tak się dzieje. „Oto gdy pościecie, kłóćcie się i spieracie, i bezlitośnie uderzacie pięścią” (w. 4). Można by sparafrazować: bezlitośnie uderzacie językiem. Istotą problemu jest brak miłosierdzia i przebaczenia, te zaś pochodzą z duchowej zarożumiałości. Ale z tego duchowego marazmu i zastoju istnieje wspaniałe, proste wyjście. „Lecz to jest post, w którym mam upodobanie: że się rozwiązuje bezprawne więzy, że się zrywa powrozy jarzma, wypuszcza na wolność uciśnionych i łamie wszelkie jarzmo” (w. 6). Niewątpliwie wiele jest pomiędzy ludem Bożym rzeczy do naprawienia i czujący się do tego powołani mają szerokie pole do popisu. Ale Bożym sposobem robienia tego jest miłosierdzie i przebaczenie. „Że podzieliś twój chleb z głodnym i biednych bezdomnych przyjmiesz do domu, gdy zobaczysz nagiego, przyodziejiesz go, a od swojego współbrata się nie odwrócisz” (w. 7). Jakże ten Boży sposób kontrastuje z jakże powszechnym sposobem pomstowania i złorzeczenia braciom za każdym razem, ilekroć dostrzegamy u nich jakieś braki, głód lub nagość!

Wystarczy jednak przyoblec się w szatę pokory i „serdeczne współczucie” względem siebie, a wspaniałe duchowe rezultaty w postaci Bożego błogosławieństwa pojawią się natychmiast: „Wtedy twoje światło wszędzie jak zorza poranna i twoje uzdrowienie rychło nastąpi; twoja sprawiedliwość pójdzie przed tobą, a chwała Pańska będzie twoją tylną strażą. Gdy potem będziesz wołał, Pan cię wysłucha, a gdy będziesz krzychał o pomoc, odpowie: Oto jestem!” (w. 8, 9). I jeszcze raz Pan podkreśla dobitnie, o co chodzi i jaki jest tego warunek: „Gdy usuniesz spośród siebie jarzmo, szydercze pokazywanie palcem i bezecne mówienie, gdy głodnemu podasz swój chleb i zaspokoisz pragnienie strapionego, wtedy twoje światło wszędzie w ciemności, a twój zmierzch będzie jak południe, i Pan będzie ciebie stale prowadził i nasyci twoją

duśkę nawet na pustkowiach, i sprawi, że twoje członki odzyskają swoją siłę, i będziesz jak ogród nawodniony i jak źródło, którego wody nie wysychają” (w. 9–11).

To nie jest tylko Boże napomnienie dla jednej osoby. To jest potężne przesłanie dla całego Bożego ludu, mogące i mające zmienić całkowicie i radykalnie całą duchową rzeczywistość. To jest perspektywa i wezwanie do odnowy o rewelacyjnych skutkach. Bo przecież wzajemne pretensje i zarzuty, wzajemne waśnie i podziały w chrześcijaństwie ewangelicznym to od stuleci koszmarny wrzód na ciele kościoła, gorzej, to kalectwo i inwalidztwo, które od wieków sprawia, że zamiast triumfować, z najwyższym trudem łapiemy oddech i utrzymujemy się przy życiu, podduszeni i pokrępowani jedni przez drugich. Ale Duch Święty mówi teraz: „Dosyć!” Teraz jest czas, kiedy „Pan opatrzy skaleczenie swojego ludu i uleczy zadaną mu ranę” (Iz 30:26). To już się dzieje! Przebiega wspaniała odnowa na tym odcinku. Duch Święty dotyka serc, objawia prawdę o strasznych skutkach braku miłosierdzia i przebaczenia i o rewelacyjnych zmianach, jakie powoduje ich przywrócenie. I to dzieje się nie tylko w teorii, lecz można to obserwować na wielu miejscach, nie tylko w pojedynczych osobach czy w małych grupach, ale na wielką, niespotykaną skalę. I wszędzie tam, gdzie doszło do odnowy w tej dziedzinie, te wspaniałe obietnice z Izajasza 58 stają się widoczne jak na dłoni. Dzieje się wtedy także i to, co zapowiada werset 12: „Twoi ludzie odbudują prastare gruzy, podźwigniesz fundamenty poprzednich pokoleń i nazwą cię naprawiaczem wyłomów, odnowicielem, aby w nich można było mieszkać.” Długa, koszmarna era wśród dzieci Bożych wzajemnego złożyczenia sobie, wzajemnego przeskadzania sobie i wzajemnego zwalczania siebie odchodzi bezpowrotnie w przeszłość.

— W jakim sensie? Widzimy przecież nadal pełno tych rzeczy wokół siebie. — To prawda. Wymaga to pewnego wyjaśnienia. Częściowa odpowiedź jest taka, że tam, gdzie te zjawiska wzajemnego oskarżania się i potępiania mają wciąż miejsce, nie doszło jeszcze do wspomnianej odnowy. Nie należy jednak sądzić, że postawy takie znikną całkowicie. Postępujący bowiem od stuleci proces odnowy Kościoła nie obejmuje wszystkich chrześcijan. W okresie reformacji odkryto ponownie i odnowiono w Kościele fundamentalną biblijną prawdę o zbawieniu z łaski, bez uczynków, niemniej jednak aż do dziś miliony chrześcijan poszukują zbawienia przez uczynki. Nieco później odnowiono biblijną prawdę o chrzcie jako świadomym akcie zawarcia przymierza z Bogiem, ale do dziś miliony chrześcijan praktykują chrzest niemowląt. I tak można by przytaczać wiele innych szczegółów postępującej odnowy. W ubiegłym stuleciu nastąpiła wspaniała odnowa wielu prawd

o działaniu Ducha Świętego i Jego darów, ale do dziś znaczna część chrześcijaństwa ewangelicznego tego nie dostrzega i z tego nie korzysta. Można się spodziewać, że podobnie będzie z tymi elementami Kościoła, których odnowa przebiega właśnie teraz. Odnowa obejmie tylko tych, którzy się jej poddadzą. Inni tkwić będą niestety nadal w swoich ranach i skaleczeniach, z tym tylko, że teraz już całkiem niepotrzebnie, skoro poprzez odnowę Bóg zgotował z tego tragicznego, haniebnego stanu wspaniałą drogę wyzwolenia.

Wynika z powyższego, że stawka jest bardzo wysoka. Jak wiadać, kiedy mówimy o miłosierdziu i przebaczeniu, nie chodzi o jakiś nieistotny szczegół naszych chrześcijańskich zachowań, w którym potrzeba nam nieco się udoskonalić, lecz o konieczność radykalnej przemiany, która rzutuje na jakość naszego chrześcijaństwa i na kondycję Kościoła Jezusa Chrystusa w ogromnym zakresie. Możesz podejść do treści tego artykułu „po staremu”, jako sędzia i wyszukiwacz błędów, znaleźć kilka mankamentów lub „błędów teologicznych”, rzucić kilka słów krytyki pod adresem autora, lub nawet określić to wszystko jako bzdurę i iść dalej swoją drogą pewności siebie i osądzania innych.

Lecz możesz także wybrać postawę pokory, poddać swoje życie obiektywnemu osądowi Ducha Świętego i pod Jego kierownictwem doświadczyć wspaniałej osobistej odnowy. Będzie jednak potrzebna do tego pokuta. Dzięki niej rozwiążesz liczne bezprawne więzy i zerwiesz powrozy jarzma, co uczyni cię cudownie wolnym, aby błogosławiąc innych odbudowywać przez to prastare gruzy i naprawiać wyłomy na chwałę swojego Pana i dla pożytku Jego ludu.

*J. K.*

## Szczególny rodzaj błogosławieństwa

Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć i prześladować was będą i kłamliwie mówić na was wszelkie zło ze względu na mnie!

Radujcie i weselcie się, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebie; tak bowiem prześladowali proroków, którzy byli przed wami.

Mt 5: 11–12

Pismo Święte zawiera wiele błogosławieństw. Bóg z reguły przyrzeka ludziom błogosławieństwo za pewne zachowania, za czynienie lub nie czynienie czegoś. Przytoczone powyżej słowa są wyjątkiem z tej reguły. Błogosławieństwo przychodzi tutaj pozornie bez udziału tych, którzy są jego odbiorcami, a bierze się ono z zachowania innych ludzi. Dzieci Boże, trwające przy Panu, otrzymują błogosławieństwo

wtedy, gdy są źle traktowane przez innych. Nie lubimy być traktowani źle i jeśli nas to spotyka, siłą rzeczy budzi się przeciwko temu nasz sprzeciw. Mamy poczucie krzywdy i usiłujemy tego uniknąć. Ale w świetle powyższego tekstu warto przyrzeć się tej sprawie dokładniej. Jeśli bowiem uchylimy się od złego traktowania w niewłaściwy sposób, albo jeśli będziemy burzyć się przeciwko złemu traktowaniu, możemy pozbawić się błogosławieństwa, którego Bóg pragnie nam udzielić.

Dzieło Boże natrafia w nieprzyjaznym Bogu otoczeniu świeckim na opory i sprzeciwy. Królestwo Boże nie jest z tego świata, toteż słudzy Króla często nie są tu mile widziani. Często przychodzi im doświadczać złorzeczenia i prześladowań. W mniejszym lub większym stopniu grozi nam to zawsze, ale szczególny sprzeciw przeciwko ludowi Bożemu podnosi się zwykle wtedy, gdy za sprawą Bożego kierownictwa ma on wyruszyć do dalszego etapu swojej drogi do celu — inaczej mówiąc, gdy konieczne stają się jakieś zmiany. Duch Święty wskazuje wtedy wybranym przez siebie ludzkim narzędziom dalszy kurs wędrówki, kiedy jednak nadchodzi pora, by wyruszyć, okazuje się, że nie wszyscy są na to gotowi i nie wszyscy są z tym zgodni. Podnoszą się głosy sprzeciwu, przy czym nie pochodzą one z świeckiego, wrogiego względem Boga otoczenia, lecz spośród naszych braci, a zwłaszcza przywódców, mających inne zrozumienie co do naszego celu i sposobu podążania do niego.

Trzeba zaznaczyć i mocno podkreślić, że wśród dzieci Bożych istnieje i musi zawsze istnieć sposób porozumiewania się, biblijnego rozpatrywania i rozstrzygania wszelkich, nawet bardzo drażliwych spraw, przy czym podstawą tego sposobu muszą być wzajemne relacje, uwzględniające to wszystko, co w tym zakresie zaleca Pismo Święte. Gdyby zalecenia te były konsekwentnie respektowane, pozwoliłoby to uniknąć podziałów i konfliktów. W praktyce jednak prawie zawsze dochodzi do głosu nasza cielesność, a w ślad za nią nasze wzajemne stosunki stają się dalekie od biblijnego wzorca. Powstają wtedy mniejsze lub większe grupy czy skupiska, zajmujące różne postawy, których wzajemne stosunki bywają bardzo napięte, a nie rzadko nawet wrogie. Z reguły za kryterium prawidłowości uważana jest własna postawa, a inni poddawani są ostrej krytyce. Pojawia się więc na nowo złorzeczenie, prześladowanie i kłamliwe przypisywanie sobie wszelkiego zła, tym tragiczniejsze i boleśniejsze, że mające miejsce pomiędzy braćmi, synami tego samego Ojca w niebie.

— Jakie z tego możemy wyciągnąć dla siebie wnioski? — Przede wszystkim powinniśmy jak najbardziej dokładnie upewnić się, że my sami nie bierzemy czynnego udziału w żadnych takich aktach wrogości między chrześcijanami. Można, a niekiedy trzeba się nie zgadzać,

zachowując jednak zawsze postawę godną ewangelii i wywiązując się w stosunku do wszystkich innych dzieci Bożych z tego wszystkiego, do czego zobowiązuje nas zakon Chrystusowy. Pofolgowanie własnej cielesności, poddanie się wpływom otoczenia lub ogólnej atmosferze i pójście drogą niszczącej krytyki i złośliwych uwag w stosunku do innych degradowuje nasze chrześcijaństwo i naraża nas na najpoważniejsze konsekwencje przed Bogiem, który w takich sprawach nie pobraża. Można by wymienić cały szereg nazwisk konkretnych wierzących osób, które w ten sposób sprowadziły na samych siebie i swoich bliskich wyjątkowo tragiczne ciosy i zeszyły ze świata przedwcześnie w fizycznych mękach lub w niesławie. „Straszną to rzecz wpaść w ręce Boga żywego” (Hbr 10:31). Unikaj tego jak ognia, ale nie tylko ze strachu przed karą, lecz przede wszystkim z odrazy, gdyż postępowanie takie jest dokładnym przeciwieństwem zachowań godnych prawdziwego chrześcijanina.

— Dobrze, ale jak się zachować, jeśli sami znajdziemy się w ogniu zarzutów, niszczącej krytyki i pomówień naszych współbraci? — Przede wszystkim, niezależnie od naszej oceny źródła i formy tej krytyki, trzeba nam wtedy bardzo uczciwie i szczerze przed obliczem Bożym poddać sprawdzeniu nasze własne postępowanie i zajmowane stanowisko. Sprawdzić przy tym trzeba, czy nasze własne niewłaściwe stosunki z krytykującymi nas nie dały im słusznego powodu do zarzutów, a także rozważyć dokładnie każdy stawiany nam zarzut, choćby wydawał się na pierwszy rzut oka całkiem absurdalny. Odrzucając bowiem zarzuty „hurtem”, bez rozważenia ich zasadności, pozbawiamy się cennej okazji oczyszczenia swojego życia z różnych skaz, które dla nas mogą być niewidoczne, a które widzą inni. Rzadko bowiem okazujemy się bez winy, gdyż podstawą naszego ostanienia się przed Bogiem nie jest nasza doskonałość, lecz Jego łaska. Tak naprawdę to rzeczywistość naszego życia z punktu widzenia Bożej sprawiedliwości jest często znacznie gorsza niż kierowana przeciwko nam krytyka i nie mamy żadnej podstawy ani powodu, aby ten fakt ukrywać.

W sprawdzaniu takim celowe jest także posłużenie się opinią innych, życzliwych nam osób, prosząc je o ocenę w danej sprawie, pod warunkiem, że ich sympatia nie doprowadzi do braku obiektywizmu. Jeśli zaś wynikiem tego sprawdzenia będzie znalezienie czegoś, co choćby częściowo uzasadnia zarzuty i krytykę, trzeba nam to otwarcie przyznać wobec krytykującego, a jeśli krytyka była publiczna, przyznać to publicznie, prosząc o przebaczenie lub oferując zadośćuczynienie. Nie zwalnia nas od tego nawet fakt, że postawa krytykujących jest pełna przesady, szyderstwa lub arogancji, lecz wręcz przeciwnie, w takich okolicznościach nasze pokorne przyznanie się do winy czy błędu może odnieść jeszcze bardziej znaczący skutek. Jeśli bowiem odpo-

wiemy w tym samym tonie, odpłacimy tą samą monetą, skorzystamy z okazji dosadnego „odgryzienia się”, to pomnożymy zło i rozdarcie, natomiast reagując w duchu Chrystusowym możemy doprowadzić do złagodzenia lub nawet zażegnania konfliktu.

Warto na tym miejscu poświęcić kilka słów szczególnej sytuacji, kiedy stajemy wobec zarzutów ze strony innych dzieci Bożych, dotyczących naszego stanowiska w sprawach wiary, stosunku do jakiejś doktryny, oceny pewnych osób, które działały lub działają w Kościele, stosunku do niektórych praktyk czy zwyczajów wśród ludu Bożego, oceny powstających nowych ruchów i inicjatyw itp. We wszelkich tego typu sprawach wskazana jest szczególna rozwaga, wnikliwość i powściągliwość, a tymczasem z reguły właśnie w tych kwestiach jest we wzajemnych stosunkach najwięcej emocji, pochopności i namiętności. Postępować wtedy należy we własnym i Kościoła interesie jak najbardziej uczciwie przed samym sobą, przed Bogiem i przed innymi, a kiedykolwiek Słowo Boże, prowadzenie Ducha i własne sumienie nawet mimo wnikliwego rozważenia wszelkich możliwych racji zmusza nas do zajęcia stanowiska innego, niż jakiego spodziewają się od nas bliscy nam domownicy wiary, winniśmy uzasadnić swój wybór z wyjątkową oględnością, cierpliwością i pokorą, aby nikogo nie ranić i niczego nie rozrywać, lecz goić i scalać.

Bardzo ważne w obliczu spotykającej nas krytyki lub innej napaści słownej jest nasze własne wewnętrzne samopoczucie. Co odczuwasz, słysząc lub czytając skierowane pod twoim adresem zarzuty? Na jednym biegunie naszych odczuć jest podrażnienie, wzburzenie, irytacja — na drugim pokój i niezmacone odpoczywanie w Panu. A pomiędzy nimi różne stany pośrednie, przesuwające się w tą czy w tamtą stronę. Te wewnętrzne odczucia mogą nam powiedzieć wiele o nas samych. Podrażnienie świadczy o tym, że nasz naturalny człowiek żyje i daje o sobie znać. Prawdziwa śmierć z Chrystusem naszego starego człowieka przejawia się niezmaconym wewnętrznym pokojem w każdych okolicznościach. Jeśli więc krytyka wyprowadziła cię z równowagi, to masz cenną okazję, by porozmawiać z Panem o Jego zamieszkiwaniu i sprawowaniu władzy w tobie i dokonać na kolanach niezbędnych korekt. Wewnętrzny niepokój może też być czasem, choć nie zawsze, wskaźnikiem tego, że krytyka jest zasadna. Tak czy inaczej, okazja zobaczenia samego siebie dzięki krytyce jest cenna, nie zmarnuj jej więc, lecz wykorzystaj dla swojego dobra.

— A co, jeśli krytyka mimo wszystko okaże się zupełnie niesłuszna i krzywdząca, albo nawet celowo oszczercza? Czy i wtedy może być dla nas czymś dobrym? — A jakże! Przecież „wiemy, że Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu z tymi, którzy Boga miłują” (Rz

8:28). Teoretycznie o tym wiemy, w praktyce jednak trudno nam w niektórych okolicznościach dostrzec to dobro. Przede wszystkim więc, jeśli niesłusznie atakowana jest nasza postawa jako chrześcijan, dobro polega na tym, że unikamy pewnego „biada”: „Biada wam, gdy wszyscy ludzie dobrze o was mówić będą; tak samo bowiem czynili fałszywym prorokom ojcowie ich” (Łk 6:26). Postawa i usługa, która nie wzbudza żadnych kontrowersji, jest wątpliwej wartości, bowiem radykalne zwiastowanie, domagające się zmian istniejącego stanu rzeczy, będzie prawie zawsze natrafiało na sprzeciwy. Cierpliwe znoszenie ich w duchu Chrystusowym jest właśnie błogosławieństwem z naszego wstępnego wersetu: Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć i prześladować was będą i kłamliwie mówić na was wszelkie zło ze względu na mnie! Radujcie i weselcie się, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebie; tak bowiem prześladowali proroków, którzy byli przed wami (Mt 5:11–12). Znoszenie tych przeciwności jest częścią naszej ofiary na Bożym ołtarzu w interesie Chrystusa i królestwa Bożego, jest to nasze uczestnictwo w „udrękach Chrystusowych” za Kościół (Kol 1:24), które Pan obficie wynagradza wszelkim błogosławieństwem.

Szczególny przykład właściwej postawy w obliczu niszczącej krytyki znajdujemy w życiu króla Dawida (2Sm 16:5–13). Kiedy uciekał on z Jerozolimy podczas buntu Absaloma, złorzeczył mu okropnie i obrzucał go i jego orszak kamieniami niejaki Szymej. Dawida namawiano, by położył temu kres, ale choć miał wszelkie możliwości, aby to zrobić, zdecydowanie odmówił. Przyjął tę napaść tak, jak gdyby pochodziła z ręki Bożej. Stwierdził dwukrotnie, że to Pan nakazał mu złorzeczyć. Dawid reprezentuje tutaj prawidłowe nastawienie, dzięki któremu ustrzegł się od grzechu i pomnażania zła, i obrócił to zło dla swojego dobra i na swoją korzyść. Czy stać nas na taką postawę? Wiele od tego zależy. Kto daje się ponieść nastrojom i namiętnościom, zdradza swój niski poziom duchowy i szkodzi sobie i sprawie królestwa Bożego. Kto natomiast zdoła zachować się właściwie, odnosi zwycięstwo nie tylko dla siebie, lecz i dla królestwa Bożego.

Czasami pod ostrymi atakami znajdzie się cała społeczność, organizacja czy ruch, co dotyczy wielkiej liczby osób. Reakcje są wtedy zróżnicowane, zależne od poziomu duchowego poszczególnych osób i trudno nad nimi rozciągnąć jakąś kontrolę. Jest to dla danej społeczności trudny, lecz również pozytywny sprawdzian. Jeśli podnosi się wrzawa, ponieważ wielka liczba reaguje nerwowo i odgryza się, oddając pięknym za nadobne, jest to świadectwem niedojrzałości. Dojrzały zachowują rozwagę i spokój, przez co przechylają szalę zmagania na swoją korzyść i na Bożą chwałę.

Czasem bywa i tak, że druzgocąca krytyka okazuje się być na tyle

skuteczna, że wiele osób z szeregów krytykowanych nie wytrzymało presji i wykrusza się. Także do tej sytuacji podejść można w dwojaki sposób. Można żałować doznanej straty liczbowej i gniewać się na napastników z powodu wyrządzonej przez nich szkody. Połowa członków nie wytrzymała i odeszła! To okropne! Jeśli tak podchodzimy do sprawy, znaczy to, że nie dostrzegamy w niej żadnego dobra, tylko zniszczenie. Wtedy nie unikniemy też pretensji wobec krytykujących i nie będziemy w stanie ich błogosławić, na skutek czego sami ponieśliśmy szkodę duchową, ucierpi też sprawa Boża..

— Ale cóż tu można widzieć dobrego, skoro było nas przykładowo dwa tysiące, a po ataku krytyki pozostał tylko tysiąc? — Można i trzeba widzieć w tym dobro, każda bowiem sprawa musi przejść przez próby. Pan Jezus nigdy nie usiłował zatrzymać tych, którzy chcieli odejść z powodu zgorszenia (J 6:60–69). Marna to rzecz budować coś w oparciu o ludzi, których trzeba stale pilnować. Trudności sprawiają, że odpadają słabi i niestali, a pozostali hartują się. Ci, którzy odchodzą, udowadniają, że są „posianymi na gruncie skalistym” którzy, gdy przychodzi ucisk lub prześladowanie, wnet się gorszą (Mt 13:20–21). Odchodzą więc w takich sytuacjach ci, którzy nie mają korzenia i ledwie się trzymają, niestali, nie bardzo wiedzący, o co chodzi. Tak więc przed atakiem było dwa tysiące niepewnych, natomiast dzięki krytyce jest tysiąc sprawdzonych, zahartowanych, którzy wiedzą, czego chcą i są gotowi zapłacić cenę. Czy to nie pozytywna rola krytyki? Jej sprawcom należą się wyrazy uznania, gdyż ogień, który wzniecili, oczyścił i wzmocnił tylko szeregi Bożej armii. I tak będzie zawsze, jeśli tylko będziemy szczerzy przed Panem i jeśli bez jakichkolwiek zastrzeżeń będziemy ufać Mu we wszystkim.

Nie inaczej wygląda sprawa w sytuacji stałej, trwającej nieprzerwanie opozycji, kiedy zachodzi konieczność ciągłego borykania się z pomówieniami, szyderstwami i potępieniem. Stanowi to z całą pewnością obiektywne dobro dla Bożej sprawy. Iść sobie naprzód bez żadnych przeszkód czy trudności byłoby przyjemniej i wygodniej, ale skutki tego byłyby po czasie oplakane. Możemy je widzieć po kondycji chrześcijan, wywodzących się z terenów, które nigdy nie dotknęło prześladowanie. Im więcej kosztuje nas podążanie za Panem, tym solidniejsza będzie jakość naszego chrześcijaństwa. Nasz Pan wie o tym doskonale i dlatego w odpowiedni, optymalny dla nas sposób „uzdatnia” środowisko, w którym każe nam pracować.

Nie bądźmy nierozsądni i nie zdradzajmy swojej powierzchowności przez utyskiwanie na okoliczności, walkę z nimi i wysiłki ich zmiany na lepsze. Nasza dojrzałość powinna przejawiać się w tym, że jesteśmy w stanie okazywać wdzięczność i uwielbiać swojego Pana za Jego

doskonale prowadzenie w każdych okolicznościach, w jakich nas postawi. Dopóki tego nie potrafimy, dopóki przeciwności wywołują w nas rozterki i dopóki nie jesteśmy w stanie bez wszelkich negatywnych emocji znieść uciążliwości i ze serca błogosławić tych, którzy rzucają nam pod nogi różne przeszkody, potrzebujemy dalszej pracy krzyża nad naszym życiem i powinniśmy o nią usilnie zabiegać. Pan niewątpliwie pracę taką nad nami chętnie wykona, dzięki czemu staniemy się zwycięzcami nad wszelkimi rodzajami prób i doświadczeń — zwalczymy wszelkie przeszkody. I w taki sposób odniesiemy pełną korzyść z tego szczególnego, nietypowego błogosławieństwa, związanego ze złorzeczeniem, prześladowaniami i pomówieniami, o jakim rozmawiał Pan Jezus ze swoimi uczniami, a które dotyczy także i nas.

Na zakończenie czuję się pobudzony do tego, aby opisać osobiste przeżycie, dotyczące pewnego konkretnego tekstu, który w znacznym stopniu przyczynił się do powstania niniejszego artykułu. Przeczytawszy go po raz pierwszy, byłem zbulwersowany. Pokój wewnętrzny przysnął bez śladu. W moim umyśle kotłowały się wzburzone myśli, dalekie od Chrystusowych. Dopiero po pewnym czasie byłem w stanie postąpić z tym tekstem tak, jak Hiskiasz z listem Sancheryba (2Kr 19:14). I dopiero stopniowo Pan pracował nade mną, ucząc mnie tego, co napisałem powyżej. Widzę teraz, że to Pan nakazał pewnemu mojemu drogiemu bratu w Chrystusie napisać takie słowa dla dobra mojego i dla dobra swojego ludu. I choć nadal nie mogę zgodzić się z autorem ani co do przedstawionych przez niego rzekomych faktów, ani co do ich oceny, ani co do jego ogólnej postawy, to jednak właśnie dzięki niemu Pan mógł wykonać w moim życiu pewną pracę, pokazując mi wyraźniej samego siebie i prowadząc do pokuty i oczyszczenia.

Rozumiem, że Pan stawia nas także i w ten sposób przed bardzo trudne próby, od zwycięskiego przejścia przez które zależy bardzo wiele. Jeśli bowiem dzięki łasce Bożej pokonamy swoje namiętności i do końca uśmiercimy swoje stare „ja”, sprawa Boża odniesie wspaniałe zwycięstwo. Jeśli natomiast damy się wciągnąć w diabelską zasadzkę namiętnej, cielesnej wojowniczości, sromotnie przegramy i po raz kolejny wystawimy ewangelię w naszym Kraju na hańbę i pośmiewisko.

Jeśli masz gdzieś jakiś taki tekst, który budzi w tobie takie niezdrowe emocje, lub jeśli natkniesz się na coś takiego w przyszłości, to radzę ci, drogi czytelniku, abyś skorzystał z tego jako z nadarzającej się, darowanej ci przez Pana okazji do poddania próbie samego siebie, do walki aż do zwycięstwa przed obliczem Bożym nad samym sobą i do wprowadzenia w życie tego wszystkiego, o czym mówi i czego uczy Słowo Boże w omawianym temacie.

## **Moje osobiste zwierzenia**

Pewna część moich bliskich przyjaciół oraz braci i sióstr w wierze wyraża swoje wątpliwości lub zastrzeżenia co do moich niektórych wypowiedzi, przekonań lub postępowania. Dzieje się to w różny sposób, od ostrożnych zapytań, poprzez pełne szczerego zatroskania uwagi, ustne lub pisemne, wyraźne przejawy dezaprobaty, aż po lodowate spojrzenia i kamienne wyrazy twarzy na mój widok. Powodem jest to, że moje zdanie w dosyć szerokim zakresie spraw różni się mniej lub bardziej od zdania innych. W związku z tymi kontaktami dochodzi zwykle do wrywkowej wymiany słownej, co jednak nie jest wyczerpujące i nie prowadzi do dostatecznego wyjaśnienia. Dlatego czuję potrzebę i zobowiązanie, aby wytłumaczyć się z mojego stanowiska, zarówno przed tymi, którzy się ze mną w taki czy inny sposób kontaktowali, jak i przed tymi, którzy wprawdzie tego nie uczynili, ale mają pewne wątpliwości lub niejasności. Czynię to niniejszym, mając nadzieję, że wyjaśnienie takie będzie pożyteczne, jako że ciemność jest domeną naszego przeciwnika, zaś dzięki światłości możemy go pokonać.

Przede wszystkim muszę stwierdzić, że sam fakt różnienia się ludzi wierzących poglądami na wiele spraw uważam za pozytywny. Bóg tak bardzo góruje nad człowiekiem pod każdym względem, że żaden człowiek nie jest w stanie zaabsorbować i reprezentować całej Bożej pełni. Mamy cząstkowe poznanie, zrozumienie i doświadczenie, a cała pełnia wyraża się w Kościele dzięki zbiorowości, dzięki współdziałaniu wielu części w organicznym duchowym zespole. Potrzebujemy się nawzajem i jeśli nie respektujemy Bożej pracy w życiu i poprzez życie innych członków tego duchowego organizmu, powstają problemy. Ponosimy wtedy szkodę sami i szkodę ponosi całe ciało Chrystusa.

Do tego dochodzi fakt różnego zaawansowania naszej indywidualnej duchowej przemiany. Jesteśmy na różnych etapach Bożej pracy nad naszym życiem. Jeśli się rozwijamy, to się i zmieniamy, ulegają więc ewolucji także nasze przekonania, co jest nie tylko dopuszczalne, lecz i konieczne, bo bez zmian nie ma rozwoju. Zmianom ulega też nasz sposób widzenia wielu spraw i sposób postępowania, a zmiany te są indywidualne, osobiste i nie dotyczą równocześnie całej zbiorowości. Zmiany zaś w całej zbiorowości są rezultatem złożonych procesów wzajemnego usługiwania sobie i wzajemnego wzbogacania się w ramach jakże głębokich i wspaniałych biblijnych reguł, dotyczących życia wspólnoty. Nasza cielesność w najróżniejszej postaci procesy te utrudnia i hamuje, toteż tylko nasze usilne zabieganie przed obliczem Bożym o własną przemianę uchronić nas może przed niszczycielskim wpływem na życie wspólnoty. Jeśli natomiast koncentrujemy się na

usilnym zabieganiu o przemianę w życiu innych ludzi, nie widząc jej potrzeby u siebie, to prawie na pewno coś jest z nami nie w porządku.

Po tych wstępnych uwagach ogólnych przejść muszę do początków mojego życia duchowego, które Pan zaczął kształtować w latach pięćdziesiątych. Z domu rodzinnego i ze zboru macierzystego wyniosłem liczne duchowe skarby, poznanie Pisma Świętego, konsekwentnego życia chrześcijańskiego i osobistej społeczności z Bogiem. W odróżnieniu jednak od wielu moich rówieśników wśród stanowczych chrześcijan w okolicy Cieszyna, gdzie wyrastałem, wpływ na to kształtowanie mnie miały dodatkowo trzy czynniki. Pierwszym z nich była dosyć bogata biblioteczka literatury chrześcijańskiej moich rodziców. Zaraz po moim nawróceniu i przeżyciu napełnienia Duchem Świętym oprócz Biblii zacząłem łączywie wchłaniać literaturę przebudzeniową w języku polskim, czeskim, słowackim, niemieckim i angielskim. Już wtedy zobaczyłem wyraźnie, że to, co Bóg może i chce czynić ze swoim ludem, nieskończenie przewyższa to, co uchodzi za normę w naszym środowisku. Już wtedy zobaczyłem, że każdy wierzący powołany jest do bycia Bożym narzędziem w dziele ewangelizacji i budowania Kościoła. Już wtedy wiedziałem też, że totalna mobilizacja kościoła w walce duchowej i jego wytrwanie w wierze musi zawsze doprowadzić do klęski szatana i wspaniałego zwycięstwa Bożej sprawy. Już wtedy zobaczyłem różnicę pomiędzy władzą organizacyjną, a władzą duchową, opartą na duchowym autorytecie. Już wtedy zobaczyłem też wyraźnie, że wzajemne stosunki pomiędzy ludźmi wierzącymi są rażąco nie w porządku, co wpływa na kondycję Kościoła bardzo niszcząco, aczkolwiek nie widziałem wtedy jeszcze sposobu rozwiązania tego problemu. Już wtedy wiedziałem, że w Kościele Jezusa Chrystusa przebiega długotrwały proces odnowy, który jest poważnie zaawansowany, lecz nie jest zakończony i musi być kontynuowany.

Drugim czynnikiem w kształtowaniu mojej duchowej sylwetki była działalność ewangelistów „uzdrowieniowych”. Żyłem wprawdzie za bardzo szczelną jeszcze wtedy żelazną kurtyną, ale zaczęły docierać wieści ze Stanów, najpierw o mało znanym Hubercie Freemanie, którego kampanie opisała szczegółowo pewna siostra pochodzenia czeskiego, a potem o dalszych: Allenie, Branhamie, Hicksie, Osbornie, Robertsie itd. Z nikłych studenckich środków uciulałem z wielkim wysiłkiem sumę na solidny odbiornik radiowy, aby móc wsłuchiwać się w programy religijne, nadawane późną nocą przez Radio Luxemburg, takie jak „Back to the Bible”, „Hour of Decision” Billy Grahama, „Revival Time” C. M. Warda czy „Abundant Life” Orala Robertsa. Ten ostatni podczas modlitwy trzymał oburącz mikrofon, ja zgodnie z jego wskazówkami kładłem obie ręce na odbiorniku radiowym, a

Pan dotykał przy tym mocno mojego serca. Prowadziłem też z nim korespondencję i otrzymywałem literaturę. Wszystko to było dla mnie ogromnym źródłem inspiracji, gdyż przekonywało mnie, że żywe, dynamiczne chrześcijaństwo, którego obraz poznałem z książek, nie jest utopią ani teorią, lecz istnieje nadal i funkcjonuje w praktyce wszędzie tam, gdzie ludzie są na Boże działanie otwarcia.

Trzecim czynnikiem w Bożej pracy nade mną było to, że Pan stawał mi w różnych środowiskach, wśród wierzących chrześcijan różnych wyznań, najpierw w czasie studiów, a potem w pracy zawodowej i na wyjazdach z nią związanych. Wszędzie, gdzie się znalazłem, odwiedzałem wszystkie istniejące tam społeczności ewangeliczne, poznając ich życie, radości i problemy. Natychmiast zauważyłem, że wiele z tych rzeczy, które w domu uchodziły za nienaruszalne pewniki, jest tam nieznanymi i wiele spraw rozumianych jest inaczej. Często odkrycia takie były związane z moimi osobistymi wewnętrznymi napięciami i rozterkami, i dopiero z Biblią w rękę i na kolanach przed Bogiem dochodziłem stopniowo do zrównoważonego spojrzenia na daną sprawę. Dzięki Bogu nie pozwolił mi trwać w przekonaniu, że wszyscy inni się mylą, lecz prowadził mnie do poznania, że „inne” z reguły nie oznacza ani błędne, ani fałszywe, ani nawet gorsze, lecz najczęściej oznacza coś uzupełniającego i wzbogacającego, co należy zintegrować z poznaniem już posiadanym, dzięki czemu można czegoś się nauczyć i posunąć się o krok naprzód. Nie zaślepiąło mnie to bynajmniej na fakt, że mimo wielkich zasług w dziele głoszenia ewangelii wiele tych środowisk znajduje się w pewnym duchowym zastoju, ale chroniło mnie przed zwodniczym przekonaniem, że tylko ja czy też „my” jesteśmy właściwym poziomem. To konfrontowanie najróżniejszych podejść i obserwowanie napięć i konfliktów pomiędzy nimi otwierało mi też coraz bardziej oczy na szkodliwość denominacjonizmu, którego istotą jest właśnie absolutyzowanie własnego, cząstkowego zrozumienia i podnoszenie go do rangi prawdy absolutnej, a potem traktowanie innych z wyższością i pogardą, czego rezultatem jest rozbitcie Kościoła na wiele ugrupowań i ich wzajemna obojętność względem siebie lub nawet ich wzajemne kłótnie i zwalczanie się.

Z takim ekwipunkiem, o który postarałem się nie ja, lecz mój Pan, wszedłem w życie chrześcijańskie. Prowadziłem też wtedy intensywne życie modlitewne. Za dowód, że takie moje postawy ukształtowały się już w latach pięćdziesiątych, służyć może mój pierwszy tekst, napisany w roku 1957, pt. „W ślad za Jezusem” (jest dostępny w całości w serwisie [www.docelu.jezus.pl](http://www.docelu.jezus.pl)), którego forma była nieudolna, za co się teraz wstydzę, ale w którym są ślady całego szeregu tych wątków, o których wspominałem powyżej. Rzecz jasna, że w otaczającej mnie

rzeczywistości poszukiwałem z utęsknieniem tego, co zostało we mnie zakodowane, niestety bardzo rzadko z powodzeniem. Przeważały zniechęcające wrażenia dreptania w miejscu i braku postępu w podążaniu do tej obfitości, do której Pan chce nas wprowadzić. Jednym z niewielu bardziej znaczących wydarzeń, które wzbudziło na nowo moją nadzieję, było pojawienie się w latach sześćdziesiątych kazań Williama Branhama. Usłyszałem w nich bowiem bardzo wyraźnie te wątki, które żyły w moich marzeniach: Jezus Chrystus ten sam wczoraj, dziś i na wieki; wszystko, o czym mówi Biblia, dostępne i aktualne także i w naszych czasach; konieczność dobudowania Kościoła według Słowa Bożego i wzorca apostołskiego, przygotowanie oblubienicy na spotkanie z Oblubieńcem, a wszystko to będące nie do zrealizowania bez wyrwania się z mentalności denominacyjnej, będącej przyczyną zastoju. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że jest to bardzo istotne przesłanie od Pana dla Jego ludu. Niestety wokół osoby i „nauki” Branhama rozgorzały niebawem zażarte spory, przy czym dotyczyły one wyłącznie spraw nieistotnych, drugorzędnych lub nawet trzeciorzędnych. Tej tak cennej i ważnej dla mnie istoty tego przesłania wydawali się nie widzieć i nie słyszeć ani przeciwnicy, ani zwolennicy Branhama — i tak sprawa wygląda właściwie do dnia dzisiejszego.

Za zachętę i zbudowanie, jakie przyjąłem z usługi Branhama, zapłaciłem drogo, stając się „czarną owcą”, która przyjęła „fałszywe nauki”. Nie pomogła nawet moja obszerna pisemna wypowiedź na ten temat, do której zostałem zmuszony w połowie lat 80-tych przez usilne naleganie moich współbraci. Odium „branhamowca” ciąży na mnie do dziś. Ponieważ jednak powiedziałem już na ten temat wszystko, co trzeba było powiedzieć, nie mam nic do dodania. W międzyczasie rozwijała się moja usługa kaznodziejska, publicystyczna, pisarska i tłumaczeniowa, jednak stale mniej lub bardziej z oporami, ograniczona na skutek panującej o mnie opinii kontrowersyjnego, podejrzanego, nieprzewidywalnego dysydenta. Przez szereg lat dzięki postawie otwartości przywództwa w krakowskim Zborze „Betlejem” byłem tam zaangażowany w pracę dosyć głęboko, jednak pewne różnice dotyczące sposobu prowadzenia pracy zborowej (domagałem się stosunków wspólnotowych, jawności i przejrzystości administracji) sprawiły, że współpraca ta ustała. Wiele zawdzięczam też Zborowi Bożemu przy ulicy Przybyszewskiego i jego przywództwu, gdzie przez szereg lat odsunięcia od pracy gdzie indziej miałem zawsze otwarte miejsce azylu. Jednak lata 1985–1996 to okres pewnego przygnębienia i zniechęcenia panującą sytuacją i moim własnym stanem duchowym. Nie próżnowałem wprawdzie, gdyż powstawały wtedy różne artykuły, książki i tłumaczenia, a także „Konkordancja biblijna”, ale zakodowana we

mnie wizja życia chrześcijańskiego i Kościoła pozostawała nieosiągalnym marzeniem. Tę wizję (podkreślam: cząstkową!) zawarłem w książkach „Życie ma sens” oraz „Przed nami cel”. W międzyczasie przebiegały też liczne dalsze ważne procesy duchowe, które przyciągały moją uwagę i miały na mnie znaczny wpływ, jak ruch Jezusa, przebudzenie charyzmatyczne, ruch wiary, usługiwanie takich postaci jak Watchman Nee, Erlo Stegen, Paul Jongi Czo, Reinhard Bonnke, ale dla zwieźłości nie wchodzę w szczegóły. Niestety pogrążony też byłem wtedy w pretensjach do innych, nosiłem w sobie poczucie krzywdy i zmagalem się z różnymi, nie przewyżczonymi do końca grzechami starego człowieka.

Bardzo ważny dla mnie zwrot nastąpił w drugiej połowie roku 1996, kiedy to przypadkiem zetknąłem się z kilkoma numerami czasopisma „Absolutnie Fantastyczne”. Lektura tego pisma ożywiła mnie duchowo niesamowicie. Najistotniejszym bodźcem było odkrycie, że wszystko to, co Pan zakodował we mnie w latach pięćdziesiątych, jest nadal w pełni aktualne i zostanie w 100 procentach zrealizowane. I to nie przez denominacje, gdzie każde hasło jakiegokolwiek zmiany będzie zawsze napotykało na zażarty sprzeciw, lecz przez nowych ludzi, których sobie Pan powoła i wyposaży. Zobaczyłem, że Pan zaczął już obchodzić i omijać te niereformowalne struktury i posługiwać się nową generacją przywódców, którzy szybko się rozwijają. Z literatury wiedziałem, że dzieje się tak zawsze, kiedy obłok Bożej chwały podnosi się, wzywając lud Boży do dalszego etapu jego wędrówki.

Od tej chwili zacząłem zupełnie inaczej widzieć całokształt duchowej rzeczywistości i dostrzegać raz po raz mnóstwo nowych, radośnych faktów i wątków. Okazało się też, że „Absolutnie Fantastyczne” to tylko jedna z wielu inicjatyw tej nowej fali Bożego poruszenia. Odżyłem wtedy duchowo jak stary Jakub po wiadomości, że Józef żyje i panuje w Egipcie. Od roku 1993 wydawałem już biuletyn „Do Celu”, nie do końca rozumiejąc, dlaczego albo dla kogo to robię. Teraz nagle Boże prowadzenie stało się jasne. W momencie, kiedy Pan mnie duchowo ożywił, istniało już forum dzielenia się tym ożywieniem. Mój entuzjazm z dokonanego odkrycia i odświeżenia, jakiego doświadczyłem, wyraziłem w artykule pt. „Minęła zima” (Do Celu nr 4). Ta duchowa odnowa, jakiej wtedy doświadczyłem, trwa do dziś i ufam, że nie osłabnie, lecz jeszcze się spotęguje.

Nie zmieniły się wtedy prawie wcale moje przekonania, odkryłem tylko środowisko, w którym żyje, realizuje się i pogłębia się ta właśnie wizja, jaką 40 lat wcześniej przyjąłem od Pana. Rzecz jasna, że poczułem od razu i czuję do dziś mocną więź duchową z tymi wszystkimi, których Pan w tym poruszeniu używa i których przez to

zwiastowanie kształtuje, mimo że początkowo wcale ich nie znałem. Jednak ponad 5 lat wzajemnego poznawania się nie osłabiło tej więzi, lecz ją wzmocniło, gdyż prawie każdy dzień dostarcza nowych, wielce radosnych dowodów duchowej żywotności i rozwoju w życiu ludzi, przeważnie młodych, którzy podobnie jak ja zdecydowani są ubiegać się o pełnię duchowych dóbr w Chrystusie. I tak, jak zazwyczaj, także w tym przypadku sprzeciwy przeciwko temu nowemu poruszeniu dotyczą spraw o drugorzędnym i trzeciorzędym znaczeniu, co ujawnia, że jego przeciwnicy nie widzą ani nie słyszą istoty głoszonego teraz przesłania i nie rozumieją, o co tutaj chodzi. Ale tym razem dzięki łasce Bożej jest wcale pokaźna i coraz bardziej wzrastająca liczba tych, którzy istotę tego przesłania widzą, słyszą i rozumieją. Wiedzą dokładnie, czego chcą i wiedzą, o co chodzi. Wiedzą też, że realizacja będzie kosztować i na ogół są gotowi ponosić te koszty. I realne, wymierne przeobrażenia w ich życiu dokonują się bardzo szybko, tak że w niektórych dziedzinach trudno mi dotrzymać im kroku, a w niektórych pozostają wyraźnie w tyle. Sprawia mi to po latach utyskiwania i wdychania nieopisaną radość i dziękuję za to Bogu.

Pod wpływem tego przeżycia z drugiej połowy roku 1996 wróciłem po wielu latach do intensywnego życia modlitewnego, zdecydowany usilnie zabiegać o własny postęp duchowy i poddać się Panu, aby móc pochwycić to wszystko, na co zostałem pochwycony (Flp 3:12–13). Miałem o tym swoje własne wyobrażenia, które okazały się błędne. Sądziłem mianowicie, że rezultatem moich modlitw będzie bliższa więź z Panem, szersze pole działania i większe obdarowanie duchowe, natomiast Pan inaczej widział moje potrzeby i zaczął realizować swój własny program dla mojego życia. Znalazłem się w ogniu Bożego sądu, wśród dramatycznych doświadczeń i walk, spowodowanych poważną chorobą psychiczną mojej żony Emilii, w której nie brak też symptomów opresji demonicznej. Był to wstrząs, który stawiał pod znakiem zapytania całe nasze chrześcijaństwo, cały dorobek życia i całą przeszłość. Nie wchodząc w szczegóły samej choroby, w której otrzymaliśmy potężne wsparcie duchowe od ludu Bożego w Krakowie i z wielu innych miejsc, muszę omówić duchowe rezultaty tych przeżyć.

Pan przeczesał drobiazgowo moje życie i wyprowadzał na światło wszystko, co w Jego oczach nie mogło się ostać. Musiałem wyznać przed żoną i braćmi moje osobiste grzechy, pokutować z moich stosunków z innymi i oczyszczać się z wielu cech starej natury jak wyniosłość, zarozumiałość, kłótniwość, nieustępliwość, nieprzebaczenie, krytycyzm i wiele innych. Przykładowo, z wydawcami „Konkordancji” prowadziłem spór o prawa autorskie w sposób całkiem świecki, niegodny chrześcijanina, w którym groziłem sądem, naliczałem karne

odsetki za niewypłacone kwoty, sporządziłem nawet pozew sądowy i wyznaczyłem ultymatywny termin, do którego moje żądania mają być spełnione, w przeciwnym razie złożę pozew w sądzie. Długi byłby spis tego, na co teraz Pan położył swój palec i z czego musiałem pokutować, oczyszczać się, za co musiałem przepraszać i co musiałem zmieniać.

Nie sposób nie wspomnieć w szczególności o surowym Bożym osądzie mojego zwyczaju krytycznego wyrażania się o ludziach wierzących, w szczególności o przywódcach. Ten ohydny proceder uprawialiśmy przez wiele lat wraz z żoną w naszych wspólnych rozmowach, roztrząsając w duchu oskarżycielskim najróżniejsze złe naszym zdaniem cechy i postęпки wielu osób, nie rzadko irytując się przy tym i oburzając. Oboje przeżyliśmy na sobie niezwykle mocno poczucie Bożej stanowczej dezaprobaty dla takiego postępowania, co spowodowało nasze głębokie upamiętanie, które, jak wierzę, raz na zawsze nas z tego oczyściło i wyleczyło, czego dowód widzę w tym, że jest to dla mnie teraz nie do pomyślenia. Słyszając teraz oskarżenia pod adresem osób trzecich doznaję bólu nieomal fizycznego, co zmusza mnie do ich odrzucania bez wnikania w ich prawdziwość. Od kiedy podjąłem taką decyzję, liczba negatywnych cech, jakie dostrzegam u innych, zmalała co najmniej dziesięciokrotnie, co działa na mnie bardzo relaksująco i wyzwalająco. Zagadnienie to poruszam w artykule „Przebaczone winy, darowane długi” (Do Celu nr 16).

Jednak po tej przemianie pojawił się poważny problem mojego stosunku do tych współbraci, którzy nadal robią to, co Pan we mnie surowo osądził. Muszę staczać walki z samym sobą, aby nie ulegać względem nich uczuciu niechęci i wrogości. Ponieważ Pan dopiero mnie uczy właściwych postaw względem nich, popełniam zapewne poważne błędy, które są dla innych widoczne, proszę więc o przebaczenie. Ufam, że Pan nauczy mnie właściwej postawy w takich sytuacjach, o co usilnie Go proszę. Na razie zdołał nauczyć mnie tyle, że o ile widzę coś złego u współbrata i o ile Pan pobudza mnie do tego, aby się tą sprawą zająć, to powinienem w biblijny sposób kontaktować się z nim samym, zaś nikt trzeci nie powinien wiedzieć o tym ani słowa. Jeśli zaś dostrzegam zło ogólniejsze, to powinienem zwalczać go biblijnym sposobem wyłącznie dobrem, czego oczywiście muszę się nadal uczyć.

Wiem, że w żadnej z tych dziedzin nie stałem się odtąd doskonały, ale wyraźnie widzę, że w wielu dziedzinach mojego życia dokonał się znaczący postęp. Zapewniam też, że na Bożym ołtarzu znalazły się wtedy po raz kolejny również wszystkie moje przekonania, cała moja „wizja”, usługa i cały dorobek literacki, łącznie z różnymi osobami, grupami i ugrupowaniami, z którymi utrzymywałem kontakty, nie łączyjąc Branhama ani branhamowców, i łącznie z tym wszystkim, co

mogłoby być potencjalną przyczyną Bożej dezaprobaty. Jednak Pan żadnej z tych rzeczy nie zabrał ani nie skorygował, musiałem tylko pokutować z formy — ciętości języka i dosadności swoich wypowiedzi, z braku łagodności i pokory w kontaktach z innymi. Dlatego niektórych moich dawniejszych tekstów, które zawierały „szydlercze pokazywanie palcem i bezecne mówienie” (Iz 58:9) już teraz nie udostępniam.

Z biegiem czasu ten proces oczyszczenia zaowocował różnymi widocznymi zmianami. Zagoiły się rany i blizny po różnych dawnych zaszłościach, zaczęło się poszerzać pole usługi, między innymi otworzyły się dla mnie miejsca usługiwania, które były od kilkunastu lat zamknięte, bez moich zabiegów otwarła się możliwość pracy w internecie, odczuwam też nową inspirację w usługiwaniu słowem mówionym i pisanym. Pan wysłuchał też moje długotrwałe prośby o wyzwolenie z poczucia osamotnienia — mam teraz dość liczne grono braci i siostr w wierze, z którymi doskonale się rozumiemy, wspólnie się budujemy, walczymy i wspieramy się wzajemnie, czego dotkliwy brak odczuwałem przez długie lata. Ponadto widzę, że Boża praca nad moim życiem przebiega nadal i to tak intensywnie, że prawie każdy dzień przynosi jakieś nowe poznanie i towarzyszącą mu przemianę. Równocześnie jednak wyrastają także coraz to nowe wyzwania, toteż dokonująca się we mnie przemiana zaledwie za nimi nadąża, albo i nie nadąża. Dlatego proszę o cierpliwość tych z Was, którzy widzicie jeszcze we mnie lub w moich wypowiedziach pozostałości starego człowieka — wierzę, że Pan prędzej czy później to zmieni, gdyż gorąco o to Go proszę.

Ale mimo tych zmian na lepsze mam odczucie, że przełom jeszcze nie nastąpił. Porównując moje życie z biblijnym wzorcem normalnego chrześcijanina, czuję się ciągle bankrutem. Wiele Bożych obietnic w moim życiu nie działa. Nie umiem na przykład pozyskiwać uczniów przez swoje indywidualne świadectwo, co umieli wszyscy wierzący w zborze jerozolimskim (Dz 8:4). Osoby, o których wiem, że przyszły do Pana dzięki mojej usłudze, i które o tym świadczą, można policzyć na palcach jednej ręki. Moje kładzenie rąk na chorych nie przynosi biblijnych rezultatów (Mk 16:18). To samo można powiedzieć o używaniu imienia Jezusa w konfrontacji z demonami (Mk 16:17). Nie dostrzegam, by z mojego wnętrza wypływały rzeki żywej wody (J 7:38). Nie widzę też, by podczas mojej usługi Duch ożywiający ożywił innych (1Ko 15:45; 2Ko 3:6). Pełna lista jest jeszcze o wiele dłuższa. I nie mam tu żadnej wymówki, bo kiedy prosiłem Pana, by wreszcie zechciał uczynić mnie normalnym chrześcijaninem, odebrałem w odpowiedzi: „A co twoim zdaniem powinienem jeszcze uczynić, abyś ty mógł być normalnym chrześcijaninem?” Bo przecież wiemy, że dzieło odkupienia jest doskonale i nie ma żadnych braków.

Pewną pociechą jest dla mnie to, że całkiem pokaźna liczba osób świadczy o tym, iż przyjęła jakieś zbudowanie z mojej usługi mówionej lub pisanej, ale jest to kropla w morzu zarówno istniejących potrzeb, jak i Bożych możliwości, zagwarantowanych Jego dzieciom w biblijnych obietnicach. Dlatego jestem zdecydowany wraz z innymi trwać w modlitwach i we wierze, że przełom musi nastąpić. Widzę jednak swoją nieudolność i niepodatność na Boże działanie także i w tym, że podczas gdy zazwyczaj następuje to po 1 lub 2 latach walki (sądząc ze świadectw Allena, Blumhardta, Liardona, Stegena i innych), w moim przypadku nie nastąpiło to nawet po 6 latach. Niemniej nie tracę nadziei i jestem zdecydowany wytrwać na tym kursie, gdyż wyraźnie pobudza mnie do tego Duch Pański. Fakt, iż moja żona wciąż jeszcze cierpi, odbieram jako dowód, że Pan ma z nami jeszcze wiele do zrobienia i że zamierza dokonać jeszcze więcej niż dotychczas.

Może niejednen czytelnik pomyśli w tym miejscu: „Czegóż to jeszcze chce ten stary emeryt, któremu niebawem „stuknie” siedemdziesiątka?” Rzeczywiście. W kondycji, w jakiej byłem 7 lat temu, myślałem już tylko o odejściu z tego świata, powołując się na to, że moi przodkowie żyli krótko i umierali wcześniej. Teraz jednak, po doznaniu darowanego mi ożywienia widzę, że brak mi jeszcze pełnych 15 lat do wieku Kaleba, w którym poprosił on dla siebie o dziedzictwo i przystąpił do podboju gór, zamieszkałych przez Anakitów, którzy byli olbrzymami (Joz 14:10–13). Owszem, wiem, że moje życie jest w rękach Pana i że ma prawo mnie odwołać choćby jeszcze dziś. Ale póki tego nie robi, nie mam zamiaru przyglądać się beczynnemu temu, co Pan dzisiaj czyni. Wewnętrzne przecucie mówi mi, że to, co najlepsze, jest jeszcze przed nami!

W moich modlitwach proszę jednak o to, aby, bez względu na to, co robi ze mną, wskrzesił armię młodych ludzi, chodzących w pełni mocy, aby nasz Kraj zobaczył Bożą chwałę. I wierzę mocno, że to się stanie i że czas ten jest bliski. Swego czasu Pan pobudził mnie, by modlić się o wioski wierzących w Bieszczadach. Wychodziłem na pagórki nad Wolą Piotrową, Puławami i Wisłoczkiem, wznosiłem wysoko ręce i na głos błogosławiłem te miejsca w imieniu Pańskim, modląc się o to, aby Pan nie pozwolił temu wsianemu tam cennemu nasieniu zmarnieć bez wydania obfitego plonu. Pamiętam, jak przez długi okres czasu wspólnie z mieszkającymi tam braćmi boleliśmy nad duchową bezpłodnością i zabiegaliśmy usilnie o postęp w dziele ewangelizacji na tym terenie. I chociaż jak dotąd realia nie są zbyt zachęcające, bo w ciągu przeszło 30 lat powstał w tamtych stronach tylko jeden nowy zbór, i to w miejscu już dawniej istniejącego, to jednak wierzę, że skoro Pan nas do tego pobudzał, wysłucha także nasze modlitwy.

Wierzę, że dorosło i dojrzało już tam, i nie tylko tam, nowe, młode pokolenie, które Bóg otrząśnie z zastoju, które pozrywa krępujące powrozy jarzma i wyciągnie swoje ręce po pełnię Bożych obietnic. I na wielu miejscach to już się rozpoczyna!

Nie ukrywam, że najbardziej przykro mi, kiedy patrzę na tych z Was, którzy zupełnie nie dostrzegają żadnego z licznych ważnych wątków postępującej aktualnie pod kierownictwem Ducha Świętego odnowy, ponieważ tak bardzo skupiają swoją uwagę na objawach postępującego z inspiracji szatana odstępstwa. Uważam i obserwuję, że z jednej strony prowadzi to do zadowolenia z samych siebie, gdyż ubolewamy głównie nad stanem innych, z drugiej zaś strony praktycznie uniemożliwia nam to posuwanie się naprzód, skoro nie dostrzegamy ani nie mówimy o tym, co aktualnie czyni Jezus, tylko raz po raz wracamy do tego, co robi diabeł. Pan jednak mocno przekonuje mnie, że w tym także sytuacja pozostaje całkowicie pod Jego kontrolą i że jeśli tylko będziemy szukać wytrwale Jego oblicza, Duch Święty zjednoczy wspaniale wszystkich tych, którzy pozwolą się Jemu prowadzić, i obróci w dobro nawet istniejące dzisiaj jeszcze nieporozumienia.

Podsumowując stwierdzam, że w taki właśnie, wyżej opisany sposób Pan mnie prowadzi i tak wygląda to, co widzą moje duchowe oczy. Dostrzegam, że niektórzy z Was widzą sytuację inaczej. Staram się zrozumieć, dlaczego, mając tego samego Pana i ten sam cel, widzimy tak bardzo różnie, i jak na razie nie mam na to pełnej, całościowej odpowiedzi. Jednak na moje prośby Pan stale czegoś mnie uczy i uważam za swój obowiązek dzielić się tym z innymi, korzystając z tych środków, które są dostępne. Niezależnie od tego, jak ludzie to oceniają, wiem z całą pewnością, że muszę kierować się tym, co Pan daje mi widzieć, i postępować tak, jak On mnie prowadzi, gdyż to przed Nim, a nie przed ludźmi będę rozliczany z moich czynów.

Nie chcę być w tym zarozumiały i wcale nie uważam, że nie potrzebuję uwzględniać zdania innych. Wręcz przeciwnie, wnikliwie staram się śledzić wszystko i ciągle uczę się od wielu z Was wielu rzeczy, nie mogę jednak utożsamiać się z tym, czego nie potwierdza mi Słowo Boże ani głos Ducha Świętego w moim sercu. A ten głos w moim sercu bez przerwy daje mi radosną pewność, że Kościół Jezusa Chrystusa, który tak bardzo cierpi na skutek naszej cielesności, będzie się oczyszczał i zwycięsko kroczył naprzód do swojego celu. Jestem niezmiernie wdzięczny mojemu Panu, że po tak wielu latach tęsknego wyczekiwania dał mi dożyć tego trudnego, lecz i radosnego czasu, i że pozwala mi nie tylko widzieć to, co teraz czyni, lecz i wnosić do tego z Jego łaski moją małą cząstkę.

## Tylko w Duchu i prawdzie

Wierz mi, kobieto, że zbliża się godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będzie się już więcej oddawać czci Ojcu.

Bóg jest Duchem i Jego czciciele powinni Go czcić w Duchu i prawdzie.

J 4:21,24 Ek.

Spotkanie Pana Jezusa z kobietą samarytańską (J 4:1–42) zawiera bardzo cenną naukę. Istniał ostry, wielowiekowy spór pomiędzy Żydami a Samarytanami. Jakie było jego podłoże? Ci pierwsi byli Bożym narodem wybranym i zgodnie z nadanym im prawem oddawali Bogu cześć w świątyni jerozolimskiej. Kiedy znaleźli się w niewoli, Asyryjczycy sprowadzili na ich miejsce obce ludy. Te ludy nauczyły się oddawać cześć Panu, lecz czciły także swoje własne pogańskie bożki (2Kr 17:23–41). Kiedy Żydzi wrócili z niewoli, obie społeczności znalazły się z sobą w konflikcie (Neh 2:10; 4:1–4). Żydzi gardzili Samarytanami jako poganami, Samarytanie zaś stworzyli coś, co dzisiaj nazwalibyśmy teologią zastępstwa. „Czy Bóg nie odrzucił Żydów? Przecież zesłał ich na wygnanie z powodu ich grzechów!” A więc teraz Samarytanie są ludem wybranym, na który przeszły Boże obietnice.

Obie strony mają więc swoje niezaprzeczone racje, czego konsekwencją jest ich wzajemna wrogość. Nie obcuja jedni z drugimi (J 4:9). Największą kością niezgody jest miejsce sprawowania kultu. „Na tej górze” czy „w Jerozolimie” (w. 20). Albo — albo. Nie może być żadnego kompromisu. „My mamy rację, a tamci są w błędzie”. Każdy musi wybierać. Wrogość jest nieunikniona. Wymaga jej wierność względem Boga. Po obu stronach względem tego samego Boga. A w miarę, jak wzrasta wrogość, wzrasta zaślepienie. W umysłach powstaje obraz daleki od rzeczywistości. Wzajemne zarzuty są coraz bardziej absurdalne. „U nas wszystko jest dobre. U nich wszystko jest złe. Tylko patrzeć, jak Bóg ześle na nich gromy. My stanowimy prawdziwy lud Boży, a oni to fałsz, podróbka, zwiedzenie”. I obie strony żyją w tym skrępowaniu wzajemnej wrogości, która dusi ich i więzi.

Jeśli znajdzie się ktoś, kto podziela tę wrogość, od razu staje się „nasz”. Kto natomiast okaże choćby odrobinę sympatii wrogowi lub tylko nie chce uczestniczyć w tej wrogości, sam automatycznie staje się wrogiem. Dla jednych i dla drugich. Dla Żydów i dla Samarytan (J 8:48; Łk 9:52–53). Bo tego wymaga logika albo — albo. „Nie ma innej możliwości. Każda trzecia droga to chytry wybieg szatana, usiłującego zanieczyścić nasze nieskalane szeregi szermierzy absolutnej prawdy”.

Mogliby wzajemnie się szanować, uczyć się od siebie, a dzięki temu wzajemnie się wzbogacać. Wszak to Samarytanin jako jedyny z dziesięciu przyszedł wyrazić wdzięczność za oczyszczenie z trądu (Łk 17:16). Ale wrogość zaślepia coraz bardziej. Dla jednych bycie Samarytaninem, a dla innych bycie Żydem staje się synonimem wszelkiego zła. „Co? Uczyć się? Od tych odstępców, zwodzicieli, heretyków? Przenigdy! Na samą myśl o tym ogarnia człowieka wzburzenie. Przecież wszystko, co oni mówią i robią, to takie głupie i bzdurne!” A wzburzenie to wygląda bardzo święcie i pobożnie, uchodzi nawet za oznakę szczególnie wysokiego poziomu duchowości.

Ale oto zjawia się Mistrz z Nazaretu. I pewnego dnia musi przechodzić przez Samarię (w. 4). I od razu widać, że On w tej wrogości nie uczestniczy. Siada przy studni i, o zgrozo, nawiązuje rozmowę z Samarytanką. „No, ale z pewnością tylko po to, aby jej wygarnąć dosadnie, że ona i cały jej lud są w strasznym zbłądzeniu”. Okazuje się jednak, że wcale nie. Rozmowa jest spokojna i przyjazna. Kobieta darzy Go swoim zaufaniem i poznawszy, że to prorok, postanawia skorzystać z okazji, aby rozwiązać nurtujący ją od dawna problem. „Co? Ona nie wie, gdzie jest właściwe miejsce oddawania Bogu czci? To niemożliwe! Niewiarygodne! Przecież to Samarytanką!” Gdyby zadane przez nią pytanie usłyszeli jej przywódcy religijni, miałyby poważne kłopoty.

Ale ona nie ma pewności. Nie ma zaufania do opinii ogółu, choć jest jej narzucana siłą. Choć wyrażenie wątpliwości grozi szykanami. Ona chce poznać prawdę. Prawie nikt inny z jej ludu nie odczuwa takiej potrzeby. Wszyscy uważają prawdę za oczywistą. Tylko ona nie. I teraz już wiadomo, dlaczego Mistrz z Nazaretu musiał przechodzić przez Samarię i dlaczego usiadł przy studni. Każdy, kto ma swoją oczywistą prawdę, nie będzie jej poszukiwał. Nie ma takiej potrzeby. I Jezus nie usiadł przy studni, z której taki człowiek czerpie dla siebie wodę. Bo po co? Aby się sprzeczać? Ale ona nosi w sobie wielką potrzebę i dlatego spotyka ją Jezus. Każdy, kto jest w podobnej potrzebie, może na Niego liczyć.

Jaka więc będzie odpowiedź Mistrza? Po której stronie się opowie? Jak rozstrzygnie nurtujący ją dylemat? „Na tej górze” czy „w Jerozolimie”? Wreszcie będzie ponad wszelką wątpliwość wiadomo, kto ma rację, a kto jest w strasznym błędzie. Odwieczny spór zostanie ostatecznie rozstrzygnięty. Rzecz oczywista, że na korzyść jednych, a na niekorzyść drugich. Że dla jednych będzie ostatecznym zwycięstwem, a dla drugich ostateczną klęską. Wszyscy na ten moment już długo czekają, aby świętować triumf nad pokonanymi. Ale okazuje się, o dziwo, że Mistrz nie jest niewolnikiem ludzkich skrępowań. Nie wyznaje filozofii „albo — albo”. Nie opowiada się po żadnej ze zwal-

czających się stron. Nie ujawnia, kto jest Jego ulubieńcem, a kto Jego wrogiem. On nie ma ani ulubieńców, ani wrogów. On nie wskazuje ani tych, którzy mają słuszość, ani tych, którzy są w błędzie.

Jego teologia, którą teraz wyjawia, jest zdumiewająca. Przez nikogo nie oczekiwana. Nikt się tego nie spodziewał. Nikt nie przypuszczał, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Jezus zdecydowanie odrzuca alternatywę albo — albo. Jego odpowiedź brzmi: „Ani — ani”. „Ani na tej górze, ani w Jerozolimie” (w. 21). Coś podobnego! Rozczarował, zawiódł srodze jednych i drugich. Orzekł tym samym, że toczony tak zawzięcie spór jest wynikiem ludzkiej głupoty. Bo wrogość zaślepia, a ślepotą ogłupia. Wynika z tego, że gdziekolwiek ma miejsce wrogość, nie może być słuszości. Gdziekolwiek ujawniają się ludzkie namiętności, chodzi o postawę z gruntu fałszywą, niezależnie od tego, jaki jest oficjalny przedmiot sporu. Choćby był jak najbardziej słuszny, gniew i zaciętrzewienie pozbawia go wszelkiej racji. Boża prawda nigdy nie mieszka w towarzystwie kłótni i wrogości. Bożej prawdy nigdy się nie broni ani nie krzewi pomstowaniem i złorzeczeniem. Kiedykolwiek i gdziekolwiek powstają takie nastroje, Boża prawda odchodzi.

„Ani — ani”. Jakież to wspaniałe objawienie! I jakież to wspaniałe wyzwolenie z więzów i kajdan wzajemnej niechęci, wrogości i nienawiści! Bożą prawdą, a właściwie Prawdą jest Jezus (J 14:6). On powiedział: „Jeżeli wytrwacie w słowie moim, prawdziwie uczniami moimi będziecie i poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi (J 8: 31–32). Nie ma prawdy bez Chrystusa i bez Jego wyzwolenia z niewoli namiętności starego człowieka. Bo tylko obecność żywego Chrystusa, obecność Jego Ducha usuwa ciemność i pozwala widzieć prawdę. Wszelka wrogość wyklucza zdolność widzenia prawdy (1J 2:10–11). Nie można być prawdziwym uczniem Chrystusa i w stosunkach z innymi Jego uczniami kierować się mentalnością „my” i „oni” czyli teologią „albo — albo”. Kiedykolwiek wchodzimy w takie relacje, Jego przy tym nie będzie i kiedykolwiek w takim duchu toczymy spór o jakąś domniemaną „prawdę”, Jego odpowiedzią będzie: „Ani — ani”.

Pewnego razu Jezus opowiedział historię, która znana jest jako podobieństwo o miłosiernym Samarytaninie (Łk 10:30–35). Dlaczego za bohatera tej historii wybrał Samarytanina? Czy Samarytanie odznaczali się szczególnym miłosierdziem? Raczej wątpliwe, skoro nie przyjęli Jezusa i Jego uczniów na nocleg (Łk 9:51–53). Jezus celowo uderzył w ten sposób (a robił to nieraz) w warownię uprzedzeń i wrogości, bez której zburzenia droga za Nim jest niemożliwa.

Bezsensowny konflikt między Żydami i Samarytanami jest przykładem niezliczonych innych konfliktów pomiędzy ludźmi, którzy chcą służyć Bogu. Mają one różne podłoże, różny zasięg, od dwuosobowych

aż do takich, które obejmują prawie całe narody, różną trwałość od chwilowych aż po wielowieczne, różne natężenie, ale wspólne mają to, że mącą, dzielą i niszczą. Niestety mają one miejsce i wśród naśladowców Chrystusa także i w naszych czasach. W zaślepieniu raz po raz kreślimy naszą linię podziału pomiędzy fałszem a prawdą przez coś fizycznego, materialnego, widzialnego, na przykład między pojedynczymi osobami, grupami ludzi, zborami, nazwami denominacji, sposobami prowadzenia nabożeństw, takimi czy innymi akcentami w przesłaniu i wielu innymi. I tworzymy obraz „my” i „oni”, a potem atakujemy się, coraz bardziej się zaogniając, a w miarę tego coraz bardziej ślepnąc i głupiejąc. Obraz, który wtedy widzimy, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, ale gotowi jesteśmy nawet życie poświęcić w obronie naszej cielesnej alternatywy „albo — albo”.

Nie znaczy to wcale, że nie ma ostrego konfliktu między Bożą prawdą a fałszem, między prawdziwymi a fałszywymi czcicielami Boga. Nieprzerwanie trwa zacięta duchowa walka i nikt z nas jej nie uniknie. Ale jakże całkiem inaczej przebiega Boża linia podziału między fałszem a prawdą! Nie dotyczy niczego materialnego, niczego fizycznego, niczego widzialnego. Przebiega przez ludzkie serca i to w nich, w pojedynczych osobach, niewidzialna dla nikogo toczy się i rozstrzyga (2Tm 2:19). I to dzieje się we wszystkich grupach, wspólnotach, zborach, kościołach. Bo w każdym takim miejscu mogą siedzieć lub stać tuż koło siebie prawdziwi i fałszywi czciele, niezależnie od szyldu na budynku, od wyglądu wnętrza, od porządku nabożeństwa, od rodzaju muzyki, od zewnętrznych gestów zgromadzonych czy od tysiąca innych różnic. Ale przeciwnik Boga i Jego ludu wypacza w naszych oczach obraz sytuacji w tym celu, abyśmy, zamiast walczyć przeciwko niemu w naszych sercach, walczyli przeciwko naszym braciom. „To oni! To tamci! I tamci! I jeszcze tamci!” Wszystko jedno, czego dotyczy konflikt. Byle odwrócić uwagę od istoty sprawy, od właściwego miejsca i pola walki. Byle zaślepić oczy na właściwy konflikt i pchnąć wszystkich w wir najróżniejszych konfliktów zastępczych. I niestety wielu wierzących ciągle jeszcze daje się na to nabrać.

Prawie wszyscy jeszcze tkwimy w takich bezsensownych konfliktach, które osłabiają lud Boży, a sprawiają nieopisaną satysfakcję naszemu przeciwnikowi. Bardzo łatwo nam w nie popaść, a bardzo trudno się z nich wyrwać. Wymaga to upamiętania i świadomego dużego wysiłku. Jezus stoi zawsze zasmucony na uboczu i mówi: „Ani — ani”. Wypatruje prawdziwych czcicieli, którzy oddają Bogu cześć w Duchu i prawdzie. W Bożej Prawdzie! A tacy rozwiązują swoje problemy w Duchu Chrystusowym, w Jego sposób i w Jego charakterze. Badajmy swoje życie i szczerze sobie odpowiedzmy, kim są nasi Samarytanie,

których nie cierpimy, których znieważamy i którym złorzeczymy. A potem odczytajmy podobieństwo Jezusa, wstawiając w miejsce miłosiernego Samarytanina tego brata, który jest dla nas najbardziej solą w oku. Gdyby Jezus mówił swoje podobieństwo nie do Żydów, lecz do nas, właśnie tak by ono brzmiało. Bo On nie chce, abyśmy zwalczali się wzajemnie, lecz abyśmy zwalczyli w sobie ducha oskarżania, wrogości i złorzeczenia, a przyoblekli się w serdeczne współczucie, gdyż jedynie wtedy będziemy mogli oddawać Mu cześć w Duchu i Prawdzie.

Tylko że aby Jezusa w tym Jego pragnieniu usłyszeć, trzeba zająć postawę Samarytanki. Jeśli jesteś na 110 procent pewny swojej absolutnej racji, to Jezus nie usiądzie przy twojej studni i niczego ci nie powie. Bo On chce cię uczyć używając do tego twoich braci. Jeśli pozwoliłeś wyrósć w sobie niechęci i wrogości do innych, już nigdy przez nikogo z nich Jezus niczego nie będzie mógł do ciebie powiedzieć. To prowadzi do podziałów, izolacji i zubożenia. Jeśli w tym utkwiełeś, to już nigdy nie poznasz pełnej, prawdziwej, czystej Bożej prawdy, chyba że przeżyjesz głębokie upamiętanie i upokorzenie, które zmieni całkowicie twój stosunek do innych. Bo jakakolwiek „prawda”, która tych, którzy ją wyznają, prowadzi do wrogości względem jakichkolwiek innych ludzi, nie jest i nie może być całą Bożą prawdą.

Aby móc uczyć się od Mistrza, trzeba chcieć wiedzieć. Trzeba desperacko chcieć poznać prawdę. Nie tę skandowaną namiętnie przez tłumy, lecz Bożą Prawdę. Bo ci, którzy się na to nie zdobędą, nadal będą tkwić w cielesnym „albo — albo”. I trzeba być na tyle pokornym, aby się wsłuchać w naukę płynącą od innych, słabych i niedoskonałych ludzkich naczyń, których teraz używa i przez które przemawia do nas Jezus. Ale nie tych, którzy grożą i grzmią, lecz tylko tych, którzy jak Jezus zapraszają i zachęcają. To musimy mieć na uwadze i tego musimy się w pokorze uczyć my wszyscy, którzy usługujemy innym.

Nie bój się mieć wątpliwości jak Samarytanki. Nie bój się szukać potwierdzenia prawdziwości tego, co jest mówione. A jeśli jest coś mówione w kłótniowości i irytacji, to nie miej nawet wątpliwości, bo wtedy od razu wiadomo, że tego nie mówi Jezus. Jeśli masz gorące pragnienie poznania i doświadczenia prawdy, to usłyszysz Jezusa. Najpierw usłyszysz: „Ani — ani”, a potem doznasz olśnienia. Boża prawda okaże się być całkowicie różna, jakże daleka od naszych zwichniętych ludzkich alternatyw, które są przyczyną wrogości. Boża prawda jest dla wszystkich wyzwalająca i zbawienna. Bo Boże drogi i myśli nieskończenie górują nad naszymi ludzkimi (Iz 55:8–9). Wtedy poznasz coś niewymownie wspaniałego, zdumiewającego, co cię wyzwoli i uczyni prawdziwym czcicielem Boga w Duchu i Prawdzie.

## W sprawie zmagañ z problemami (List otwarty)

Drogi Bracie, odczuwam potrzebę podzielenia się z Tobą pewnymi myślami, które, jak wierzę, podsuwa mi Duch Święty w trakcie moich modlitw.

Łączy nas to, że obaj od lat borykamy się z ogromnym problemem, który wielokrotnie wydaje się ponad nasze siły. Na skutek tego już od dłuższego czasu czuję z Tobą bliską więź, chociaż nie widujemy się często ani nie rozmawiamy. Wiele razy też wspominam Ciebie i Twój problem w moich modlitwach, gdyż Pan kładzie mi to na serce. Mamy jednak jeszcze inną rzecz wspólną, a mianowicie to, że nasz problem spadł na nas w czasie, kiedy Pan nad nami pracował i kiedy pobudził nas do usilnego szukania Jego oblicza. Przypominam sobie Ciebie w zborze podczas wspólnych modlitw. Nie znałem jeszcze wtedy Twojego nazwiska ani nie wiedziałem nic o Twoim problemie, ale byłeś jednym z najgorliwszych, wyrażałeś słowami i czynami mocne zdecydowanie podążania duchowo naprzód i zdobywania nowych terenów dla Pana. Dodam jeszcze, że takich jak my dwaj, to znaczy mających te dwie wspólne cechy: usilnie pragnących posuwać się naprzód i borykających się z problemem nie do rozwiązania, widzę na różnych miejscach cały szereg. Dlatego myślę, że nie jest to przypadek, lecz reguła.

Podczas szukania oblicza Bożego w związku z moim problemem dochodziłem stopniowo do pewnych wniosków, którymi chcę się z Tobą podzielić w nadziei, że będą dla Ciebie zachętą, a wierzę, że i dla innych, będących w podobnej sytuacji. W każdym razie ja dzięki takiemu spojrzeniu na sytuację mam siłę, aby wytrwać i wierzę, że także, aby zwyciężyć.

Naturalnie zadawałem sobie i Bogu pytanie o przyczyny mojego problemu. Niewątpliwie szatan zyskuje dostęp do naszego życia na skutek naszych różnych grzechów, upadków i niedoskonałości, toteż pierwszy okres był poświęcony głębokiej pokucie, wyznawaniu i oczyszczaniu się. Było to konieczne i jestem Bogu wdzięczny za ten sąd, ale to tylko jeden aspekt sprawy, który ani nie wyjaśnia do końca przyczyny powstania problemu, ani nie prowadzi zaraz do jego rozwiązania.

Jak więc teraz rozumiem przyczynę powstania problemu? Moim zdaniem ma to ścisły związek z naszym mocnym zdecydowaniem podążania drogą duchowego postępu. Kiedykolwiek dziecko Boże podejmuje taką decyzję i zaczyna iść naprzód, wywołuje to ogromne poruszenie w świecie duchowym. Siły ciemności, wrogie względem Boga i Jego ludu, biją na alarm i mobilizują się do przeciwdziałania, aby ten ruch do przodu powstrzymać i aby chcących iść naprzód zniszczyć. W tym samym czasie Bóg słyszy prośby i wszelkie Jego biblijne duchowe środki stoją do dyspozycji zmagających się. Prawda jest niestety taka, że te dla nas negatywne wpływy pojawiają się od razu, natychmiast — spada na nas jakiś dotkliwy cios, natomiast działania na naszą korzyść opóźniają się, gdyż nie jesteśmy przygotowani i nie umiemy korzystać z Bożych środków — Bóg dopiero stopniowo musi nas tego uczyć.

Bóg mógłby w krótkim czasie usunąć nasz problem lub nawet wcale do niego nie dopuścić, nie mielibyśmy więc problemu, ale też nie mogłyby zo-

stać wysłuchane nasze usilne prośby o postęp duchowy. Prawdziwy postęp duchowy jest bowiem niemożliwy bez wykształcenia i zahartowania, to zaś odbywa się tylko w duchowej walce. Tak więc nierozwiązalny problem jest niezbędnie koniecznym warunkiem naszego duchowego postępu, o który prosiliśmy. Co więcej, jest on dowodem tego, że nasz Pan potraktował nasze prośby jak najbardziej na serio i przystąpił do ich realizacji. Wielki problem, jaki na nas dopuścił, świadczy o tym, że zostaliśmy wytypowani do zadań szczególnie znaczących i odpowiedzialnych. Im większy problem, tym bardziej znaczące jest nasze przyszłe powołanie w Królestwie Bożym i tym większa może być Boża chwala, osiągnięta dzięki Bożemu zwycięstwu poprzez nas.

Po dłuższym okresie wątpliwości i niepewności doszedłem do mocnego przekonania co do trzech rzeczy: Po pierwsze: Bóg wprawdzie do problemu dopuścił, ale nie jest Jego wolą, aby problem trwał. Po drugie: Nie jest też wolą Bożą, abym ja problemowi przypatrywał się bezradnie i bezsilnie. I po trzecie: Problemu nie da się usunąć „na skróty”, przez przywołanie kogoś, kto w autorytecie się pomodli, nałoży ręce, użyje mocy Bożej itp. Nie pomogą też nasze własne usilne i wytrwałe modlitwy, skoncentrowane na problemie i jego usunięciu. Problem ma bowiem swoje główne zadanie, a jest nim nasza przemiana. Chodzi o nasz wzrost duchowy przed obliczem Bożym aż do momentu, w którym staniemy się zdolni rozprawić się w mocy Bożej z naszym problemem. Aż do momentu, w którym dojrzejemy duchowo ponad problem, tak że przestanie on być dla nas problemem.

Czy więc modlitwy są niecelowe? Są jak najbardziej celowe i konieczne, i trzeba je jak najbardziej nasilić i spotęgować. Ale powinno w nich chodzić nie w pierwszym rzędzie o rozwiązanie problemu, lecz o naszą własną duchową przemianę — wzrost we wierze, wzmocnienie naszej więzi z Panem, upokorzenie, przyobleczenie w moc z wysokości, chodzenie w całej zbroi Bożej. Wyraźnie zrozumieliśmy — nie tylko ja, ale cała modląca się w tej i także w innych podobnych sprawach grupa — że chodzi o duchowy wzrost i umacnianie się w Duchu, a nie o usunięcie problemów. Dla Pana nie byłoby wcale trudne szybkie usunięcie naszych problemów, ale to byłyby tylko jednostkowe zwycięstwa, które bez naszej wewnętrznej przemiany w doświadczonych Bożych wojownikach nie miałyby żadnego trwałego wpływu na stan duchowy ludu Bożego. Jeśli natomiast problem doprowadzi do naszej duchowej przemiany, jeśli borykając się z nim przed obliczem Bożym przebijemy się poprzez warstwy naszej cielesności i ziemskiej mentalności na wyżyny wiary i dotrzemy do źródła Bożej mocy duchowej, to Królestwo Boże zyska potencjał, potrzebny do przewycięzania całego mnóstwa takich i innych problemów — nastąpi wyzwolenie się mocy Bożej w daleko większym zakresie. I właśnie tego Bóg gorąco pragnie.

Może wydawać się komuś, czy to ze strony Bożej nie jest brutalne posługiwać się takimi metodami. Przecież nasi najbliżsi straszliwie cierpią przez długie lata, ich ciała czy ich dusze ulegają okropnemu niszczeniu fizycznemu lub psychicznemu, a nam pęka serce, kiedy patrzymy dzień po dniu bezsilnie na ich udręki! To prawda. Weźmy jednak pod uwagę, że Bóg widzi z góry potencjalny owoc ich cierpienia, którego my nie dostrzegamy. Bóg postąpił „brutalnie” ze swoim Synem, mając na uwadze owoce Jego ofiary. Przebicie

się do Bożej mocy wyzwala takie rzeki Bożego błogosławieństwa, że poniesione przy tym ofiary nie są warte wzmianki. Jestem pewien, że kiedy te owoce dla ludu Bożego w naszym kraju i dla całego naszego narodu ujrzą ci nasi bliscy, którzy teraz tak okropnie cierpią, powiedzą z głębokim przekonaniem, że było stokroć warto, i wraz z nami i całym Bożym ludem dziękować będą Bogu za ten przywilej, jaki im był dany. My jednak, patrząc teraz na ogrom ich cierpienia, powinniśmy uświadamiać sobie, o jak wysoką stawkę toczy się walka i jak ogromna cięży na nas z tego tytułu odpowiedzialność. Jeśli bowiem walczyliśmy opieszale, bagatelizując potrzebę własnej przemiany, to dopuszczamy się względem tych cierpiących ciężkiego grzechu. W istocie rzeczy cierpią oni nie z powodu Bożej „brutalności”, lecz z powodu żalostnej jakości naszej własnej relacji z Bogiem.

A co konkretnie musi się z nami stać? Niewątpliwie musimy zostać „przyobleczeni mocą z wysokości” w stopniu adekwatnym do trudności problemów, z jakimi się borykamy i jakie gnębią cały lud Boży i także ludzi niezabawionych. Jak będzie to wyglądać i jakie etapy będziemy mieli do przebycia, tego jeszcze nie wiem, ale jestem pewny, że w odpowiedzi na nasze usilne prośby Pan nas krok za krokiem do tego celu doprowadzi.

Na razie zrozumiałem kilka rzeczy i nimi chcę się podzielić. Jednym z elementów wiary jest pełne zaufanie Bogu we wszelkich okolicznościach. Nasz Bóg jest absolutnie zawsze panem sytuacji. Dla prawdziwie wierzących nie ma złych wiadomości. Są tylko takie, które stanowią nowe wyzwania i są nową okazją do zmanifestowania się chwały Bożej. Dla nas oznacza to, że w każdej sytuacji możemy i powinniśmy zachować całkowity spokój i pewność Bożej władzy. Jako słudzy, a właściwie niewolnicy, nie mamy prawa dyktować swoich własnych warunków. Dotyczy to także naszych problemów. Musimy zgodzić się z każdym sposobem ich rozwiązania lub nierozwiązania, jaki Pan podejmie, jakkolwiek byłoby to dla nas trudne do przyjęcia. Nawet najdroższą nam osobę musimy być w stanie złożyć w ofierze, podobnie jak Abraham Izaaka, nie szemrząc przeciwko Bogu, nie tracąc pełnego zaufania do Niego i nie przestając Go uwielbiać i całą swoją istotą Mu służyć. Nie znaczy to, że nasi cierpiący zostaną nam zabrani. Najprawdopodobniej Pan uwielbi się wspaniale przez ich uzdrowienie, ale my nie możemy uzależnić od tego naszego stosunku do Niego.

Pismo Święte zapewnia nas, że Bóg współdziała z nami we wszystkim ku dobremu. Wiemy o tym intelektualnie, ale często się przeciwko okolicznościom buntujemy. Zakłócają one nasz stosunek do Boga. W momencie, kiedy będziemy w stanie z całym przekonaniem zaufać w Boże najlepsze prowadzenie naszej sprawy, odniesiemy pierwszą fazę zwycięstwa nad swoim problemem. Dowodem takiej postawy jest to, że możemy bez oporów, z całym wewnętrznym zaangażowaniem uwielbiać Boga i dziękować Mu za Jego wspaniałość i prowadzenie. Kiedy do tego się z Bożej łaski przebijemy, staniemy nad swoim problemem. Od tego momentu jesteśmy już wewnętrznie zwycięzcami. Problem już nas nie niszczy ani nam nie zaszkodzi — przeciwnie, od tego momentu wiemy, że dzięki niemu duchowo wzrastamy i hartujemy się. To jest ważny, przełomowy moment.

Naszym naczelnym dążeniem i usiłowaniem musi być we wszelkich oko-

licznościach to, co wyraża modlitwa „Ojcze nasz”: „Święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja”. I nie tylko w tym sensie, że chcemy, aby tak było, ale że składamy w ofierze wszystko czym jesteśmy, wszystko co mamy i wszystko, czym dysponujemy dla chwały Jego imienia, dla sprawy Jego Królestwa i dla realizacji Jego woli. Że decydujemy się i usilnie zabiegamy o wszelkie przemiany, które są konieczne do tego, aby wszelkie przeszkody w nas zostały bez względu na koszty usunięte i aby te trzy cele realizowane były w naszym życiu w sposób optymalny.

Oczywiście sprawą kluczową jest umiejętność takiego naszego postępowania, aby realizowane były te trzy cele. Nie umiemy tego i Pan musi nas tego nauczyć. Świadomość ogromu tego wszystkiego, co w związku z tym powinniśmy wiedzieć, a nie wiemy, co powinniśmy rozumieć, a nie rozumiemy, co powinniśmy umieć, a nie umiemy, co powinno w nas działać, a nie działa, jest przerażająca, nie ma jednak potrzeby, byśmy żyli w ciągłym niepokoju, czy czegoś nie przeoczymy, czy czegoś nie robimy niewłaściwie itd. Możemy i powinniśmy trwać stale w całkowitym odpocznieniu, gdyż nie musimy polegać na naszej zdolności naśladowania Pana, lecz możemy polegać na Jego zdolności prowadzenia nas, uczenia nas i kierowania nami. Dbając tylko cały czas o to, aby zdecydowanie, z całą wytrwałością i konsekwencją poddawać się bez przerwy Jego formowaniu nas i usilnie Go o to prosić, wykonując posłusznie wszystko, co nam pokaże i czego nas nauczy. Wymaga to gotowości na wszelkie zmiany, nie tylko przekonań czy zwyczajów, ale całego stylu i trybu życia, jeśli Pan będzie chciał to zmienić. Jeśli bowiem Pan wyposaży kogoś w swoją moc, to z reguły żąda dla siebie całej jego istoty. Byłoby fałszywą skromnością odcinanie się od spodziewania się od Boga aż tyle. Wydaje mi się, że w nadchodzącym okresie Pan powoła sobie wielu chodzących w Jego mocy, człowiek taki nie będzie więc nikim wyjątkowym, gdyby jednak Pan zechciał uczynić kogoś z nas kimś wyjątkowym, powinniśmy być na to gotowi.

Wolno i trzeba nam oczywiście prosić o konkretne przemiany w swoim życiu, jak oczyszczenie naszych motywacji i relacji z innymi, pełność Ducha Świętego, pełność wiary, „rzeki wody żywej” płynące z naszego wnętrza, o to, aby w naszych słowach przejawiał się „Duch ożywiający” i wiele innych, nie możemy jednak zapominać, że dzieło odkupienia jest doskonałe i nie potrzebuje już uzupełnień. Nie wpadnijmy w pułapkę mniemania, że Bóg albo my sami koniecznie musimy jeszcze coś zrobić. Bóg wszystko już zrobił i wszelkie zasoby duchowe stoją do naszej dyspozycji. Dzięki temu nasze prośby możemy i powinniśmy nieustannie przepłacać dziękczynieniem za otrzymane dobra duchowe, o które prosimy, mając na uwadze Boże obietnice tego dotyczące. Właściwie potrzebna jest tylko przemiana naszej mentalności, naszego podejścia do oferowanych nam przez Boga duchowych dóbr — owoców Golgoty. Bóg z pewnością przemiany tej na nasze usilne prośby i wytrwałe stawanie przed Jego obliczem dokona.

Na koniec chcę się podzielić moim mocnym przekonaniem, że nasze indywidualne walki, jakie stacząmy, są w istocie rzeczy poszczególnymi fragmentami wspólnej walki duchowej ludu Bożego „z nadziemskimi władzami, ze zwierzchnościami, z władcami tego świata ciemności, ze złymi duchami w okręgach niebieskich”. Biorą się one z determinacji ludu Bożego objęcia w

posiadanie całego dziedzictwa, należnego nam na mocy dzieła krzyża, oraz ze sprzeciwu mocy ciemności, usiłującej tę determinację udaremnić. Skoro tak, to nasza walka jest wspólna i nasze indywidualne wysiłki bojowe kumulują się i systematycznie osłabiają naszego przeciwnika. Skoro tak, to każda modlitwa wstawieniowa za którymkolwiek z nas zmagających się z naszymi problemami przybliży chwilę naszego wspólnego zwycięstwa. Myślę, że jesteśmy już dobrze za połową tego zmagania i że ostateczna klęska szatana zbliża się z każdym dniem. Nie będzie więc wielu kolejnych, żmudnie wywalczonych indywidualnych zwycięstw w naszych indywidualnych problemach, lecz nadejdzie dzień, w którym nastąpi totalne załamanie się linii obrony przeciwnika i triumf Chrystusa i ludu Bożego. Każdy dzień i każda nasza audyencja przed obliczem Wszechmocnego dzień ten przybliży. Już teraz możemy i powinniśmy uwielbiać Go za to ostateczne zwycięstwo.

Wiele otuchy nacerpałem z lektury książki o podobnych zmaganiach, jakie toczył około roku 1840 niemiecki pastor Johann Ch. Blumhardt. Zmagał się z opętaniem demonicznym swoich zborowników. Jego postawę charakteryzują jego słowa: „Już dosyć napatrzyliśmy się na to, co robi diabeł. Teraz zobaczmy, co potrafi Jezus!” Po dwuletniej walce odniósł wspaniałe zwycięstwo. Walcząc nie zdawał sobie sprawy z tego, że chodzi nie tylko o wyzwolenie danych osób z opętania, lecz o coś znacznie ważniejszego. Nastąpił potem potężny duchowy przełom, który zaowocował ożywieniem w ponad stu zborach na rozległym obszarze i posługą uwalniania, która trwała przez wiele dziesięcioleci i z której skorzystały tysiące potrzebujących.

Drogi Bracie, otuchy! Tak, na tronie jest Bóg! I będziemy oglądać wspaniałe owoce naszych zmagañ. Chwała niech będzie naszemu Panu!

*Józef Kajfosz*

### Spis treści

Przebaczone winy, darowane długi .....	1
Szczególny rodzaj błogosławieństwa .....	6
Moje osobiste zwierzenia .....	13
Tylko w Duchu i prawdzie .....	23
W sprawie zmagañ z problemami .....	28

**Gdy usuniesz spośród siebie jarzmo, szydercze pokazywanie palcem i bezecne mówienie, gdy głodnemu podasz swój chleb i zaspokoisz pragnienie strapionego, wtedy twoje światło wszędzie w ciemności, a twój zmierzch będzie jak południe...** *Iz 58:9-10*

Serdecznie dziękujemy za ofiary, złożone na potrzeby wydawnictwa.

Wydawca: Oficyna „Cel”, Józef i Emilia Kajfosz, 30-147 Kraków,  
 Na Błonie 15/91; tel./fax: (+48 12) 637 06 18; E-mail: docelu@jezus.pl  
 Serwis internetowy: <http://www.docelu.jezus.pl> Nakład 250 egz.  
 Rachunek bankowy: Nazwa rachunku: Józef Kajfosz, Na Błonie 15, Kraków  
 Bank: PKO BP SA, V Oddz. Kraków; Nr rachunku: 85-10202906-211030158.  
 W Polsce kopiowanie, powielanie i przedruk dozwolone bez ograniczeń.  
 International Copyright Secured. Pojedyncze numery są bezpłatne.